Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 30

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

Marek Jakimowski

Jeniec turecki. — Zdobycie galery. — Romantyczne małżeństwo. — W Palermo i w Rzymie. — Tryumfalny powrót do ojczyzny

Romantyczne przygody i przeżycia Marka Jakimowskiego nęciły fantazję naszych poetów. Świadczą o tem dwa poematy: A. Grozy i Świejkowskiego, opublikowane w połowie dziewiętnastego wieku, — obydwa zresztą niewielkiej wartości artystycznej, a mieszające dość swobodnie rzeczywistość z poetycką fantazją.

Zobaczmy, jak ta rzeczywistość przedstawia się w świetle współczesnych relacyj, — w szczególności obcych, a więc nieuprzedzonych, objektywnych pisarzy.

Doskonałem źródłem jest tu dzieło wydane w roku 1623 w Rzymie, pod tytułem:

„Zdobycie galery Aleksandryjskiej w porcie Metelina, za sprawą i wielką odwagą kapitana Marka Jakimowskiego, Polaka, który był jeńcem na wspomnianej galerze, — wraz z uwolnieniem 221 jeńców chrześcijańskich".

* * *

O młodości Jakimowskiego nie wiele wiemy. Z nazwiskiem jego spotykamy się dopiero w roku 1620, — kiedy to młody rycerz dostaje się do niewoli muzułmańskiej na polu bitwy pod Cecorą.

Razem z innymi jeńcami przechodzi katusze niewoli w Stambule, — skąd po pewnym czasie wysłany zostaje do Aleksandrji.

Na galerze znajdowało się 220 jeńców chrześcijańskich, pod strażą tureckich żołnierzy. Wiezie ich Kassymbek - basza, mianowany przez sułtana wielkorządcą Damietty i Rossety. Prócz galery z jeńcami płynie kilka innych okrętów tureckich, — cała ich załoga liczyła około 150 ludzi.

Początkowo pogoda sprzyjała żeglarzom; w pobliżu Mytileny jednak silny wiatr i niepogoda zmusiła okręty do szukania przytułku w porcie. Podczas, gdy sam Kassymbek ze swoim okrętem stanął w porcie wewnętrznym „Stretto", — pozostałe galery zatrzymały się w pewnem oddaleniu od niego, w porcie zwanym szerokim.

Kassymbek, wydawszy potrzebne rozkazy, wysiadł na ląd, zabierając ze sobą około 70 żołnierzy tureckich. Z okoliczności tej postanowił skorzystać odważny a zuchwały Jakimowski. Chce oswobodzić siebie i swych towarzyszy niedoli. Z zamiarem swoim zwierza się dwom druhom, Szatanowskiemu i Stołczynie, którzy jednak odradzają mu to szalone ich zdaniem przedsięwzięcie.

Ale Jakimowski jest rezolutem: *„prawy mąż więcej Bogu i waleczności swojej, aniżeli przeciwnościom ufać powinien"*, — oświadcza krótko i spieszy na pokład.

Tam napotyka kucharza okrętowego porywa polano drzewa i tą bronią go zabija, — poczem zdąża na tył galery, gdzie Turcy zwykli byli chować broń.

Zastępuje mu drogę uzbrojony żołnierz, Grek sturczony. Wywiązuje się krótka, nierówna walka, zakończona zwycięstwem Jakimowskiego. Wydarł on umierającemu żołnierzowi oręż i chociaż sam ranny, wpada między jeńców, uwalnia ich z więzów, — poczem rozdaje między nich broń.

Galera nakryta była dużem płótnem dzięki czemu nie można było odrazu zorjentować się, co się w jej wnętrzu dzieje. Dowódca galery, Mustafa, przekonany był początkowo, że jeńcy biją się między sobą, co się zresztą nieraz zdarzało. Zorjentował się w sytuacji dopiero w chwili, gdy Jakimowski wyrąbawszy drzwi wpadł do jego kabiny. Chwyta dwie szable, chcąc się bronić, — ale Jakimowski nieustraszony naciera na niego tak dzielnie, że po chwili Mustafa pada, śmiertelnie raniony.

Tymczasem na galerze wre walka. Polacy biją się dzielnie, z odwagą rozpaczy: część Turków ginie pod ciosami, inni wpadają do morza.

Zwycięscy odcięli kotwicę i liny, przytrzymujące galerę i spiesznie odbijają od brzegu, ścigani gęstą salwą armatnią z portu i twierdzy.

Odgłosy walki ściągnęły do portu Kassymbeka. Widząc odpływającą galerę, wpada w wściekłość, zarządza natychmiastowy pościg.

Przez dwanaście godzin ścigały zbiegów trzy galery tureckie, — ostatecznie jednak zmuszone były wrócić do portu, kiedy *„powstała wielka bardzo i straszna nawalność z wichrami, dżdżem i gromem"*.

Zbiegowie płynęli dalej, mimo nawałnicy. Wkrótce też zawiał wiatr pomyślny, — dzięki czemu dostali się bez trudu na wyspę Zante, gdzie zaopatrzyli się w wodę i rozdali jałmużnę miejscowym zakonnikom.

Stamtąd popłynęli do Messyny, a po paru tygodniach, na rozkaz wicekróla neapolitańskiego, do Palermo.

Odzyskawszy wolność, postanowili obdarzyć też wolnością 22 więźniów tureckich, skazanych za rozmaite pospolite przestępstwa. Bez okupu też puścili na wolność żonę sędziego tureckiego Jusufa, choć mogli za nią uzyskać wysoki okup.

* * *

Wśród jeńców chrześcijańskich na galerze znajdowały się i branki. Było ich razem pięć: jedna imieniem Anna, jedna Katarzyna, dwie Małgorzaty, — oraz piąta

„panienka jedna, która posłana była do Aleksandrji na sprzedaż, także chrześcijanka, imieniem Katarzyna".

Musiała to być niewiasta niezwykłej urody, skoro żądany za nią okup wynosił aż „tysiąc kies złota".

Tę właśnie Katarzynę wybrał sobie na żonę Jakimowski „kapitanem już od towarzystwa będąc obranym", — a pozostałe branki znalazły również mężów wśród „przedniejszych towarzystwa" jeńców.

* * *

Po dłuższej gościnie u wicekróla neapolitańskiego Jakimowski wraz z towarzyszami i niewiastami puścili się w dalszą drogę do Rzymu, gdzie przybyli dnia 16 lutego 1621 wśród radosnych okrzyków zgromadzonego ludu.

Pragnąc okazać Bogu swą wdzięczność za cudowne ocalenie i złożyć hołd Stolicy Apostolskiej, Jakimowski ofiarował Papieżowi Pawłowi III zdobytą na Turkach wielką chorągiew z białego jedwabiu, z wyhaftowanemi na niej złotem czterema półksiężycami.

Chorągiew tę podarował Papież do katedry N. P. Marji, zwanej Rotunda.

Inne chorągwie zawiesili w kościołach św. Stanisława, św. Hieronima i św. Zuzanny.

Marek Jakimowski, na posłuchaniu u Ojca św., w obecności kardynałów, odznaczony został złotym krzyżem i wpisany w honorową księgę kawalerów tego orderu.

Kardynał Barberini podejmował ich nadzwyczaj gościnnie i serdecznie. Za jego to wstawiennictwem zezwolił im Ojciec św. na odprawienie uroczystej procesji do kościoła św. Hieronima.

Niemniejsza życzliwość okazywano niedawnym brankom, a obecnym małżonkom polskich gości. Zwłaszcza pięknej pani Katarzynie, której

„rysy twarzy, postać i skład cały tak były zajmujące, że ją dwa razy w czasie krótkiego pobytu Jakimowskiego w Rzymie, z woli znakomitszych osób, malowano".

* * *

Obdarzeni kosztownemi podarkami przez znakomite rodziny Barberinich i Colonnów, wyruszyli wreszcie w drogę powrotną do Ojczyzny. Dnia 8 maja stanęli w Krakowie, gdzie otoczeni tłumem ludu udali się odrazu do kościoła św. Stanisława, jako obrońcy i patrona swego.

Na grobie Świętego złożyli drugą chorągiew, koloru zielonego, która według podania Jakimowskiego, miała być własnością Spahisów.

* * *

Tyle wiadomości pewnych i autentycznych o kapitanie Marku Jakimowskim.

Dalsze jego dzieje nie są nam znane. Jedynie Świejkowski w swoim poemacie wspomina, że wkrótce po powrocie do ojczyzny Marek wraz z żoną, swą nieodstępną a dzielną towarzyszką, pospieszył pod Trembowlę, zagrożoną napadem wroga. W epilogu zaznacza Świejkowski, że

w świetnym brzasku polskiego oręża imiona Marka i Katarzyny Jakimowskich są prawdziwą ozdobą ojczyzny.

Może znajdzie się drugi Sienkiewicz który potrafi wskrzesić i ożywić tę bądźcobądź piękną i ciekawą postać...

(R.)



Salzburg, miasto rodzinne Mozarta

Italja współczesna i sztuka

Odzwierciedleniem dzisiejszej sztuki włoskiej, była zaiste imponująca wystawa urządzona w pawilonie paryskim: „Jeu de Paume", przez artystę malarza Antoniego Maraini, a obejmująca na terenie Tuilerji, kolekcję dzieł pracy pięćdziesięciu malarzy i dwudziestuczterech rzeźbiarzy. Znajdujemy tu skrystalizowany artyzm organizmu, który bezsprzeczne,i powrócił ponownie do kwitnącego zdrowia.

Artyści, którzy od de Chirica do Carra, ugrzęźli w ciemnej uliczce abstrakcji i zniekształcenia, bębniąc stąd przechwałki i niedorzeczności o sobie, — musieli chcąc niechcąc ustąpić publiczności, która już dłużej nie chciała tkwić za tym murem.

Laury zdobyli sobie obecnie, wśród prasy paryskiej, malarze Spadini i Carena i rzeźbiarze tacy jak Andreotti, Selva, Martini: (Donna w Słońcu i Tobbiolo) i Berti.

Musimy jeszcze nadmienić, że krytyka paryska nie ominęła i nie poskąpiła pochwał malarzowi Modiglianiemu za jego jedenaście dzieł, które wykonał w Paryżu, mieście będącem centrem jego życia, działalności, cierpień i wreszcie śmierci w r. 1920. Wyróżnił się on głównie swym prądem liberalnym, wyzwolonym z więzów nacjonalistycznych i wszelkich związków z naturą. Dał impuls do realistyki, która zresztą święci tryumfy od Moskwy do Paryża i od Rzymu do Berlina.

Polityka brutalnie wkroczyła i w tę dziedzinę, a to głównie w Moskwie i Berlinie. Prasa sowiecka wydała obecnie dzieło propagandowe, w którem podkreśla ten fakt, że w ciągu laty siedemnastu sztuka w Rosji Sowieckiej zjednoczyła w sobie siły żywotne i twórcze, pod banderą realizmu socjalnego, jedynego bodźca tendencyjnego, który stanowi Semafor jej sztuki obecnej.

Krytyka francuska, występuje tu teraz w pełni, znamionuje się dobrym gustem, iście francuskim, ostrym, biegłym sądem w swych orzeczeniach, porównując sztukę malarską do języka, który ma wyrazić swój stosunek do przejawów życiowych, dobrymi regułami, czystością wymowy, poprawną konstrukcją zdania i jasnością stylu. Poeta uduchowiony, pełen fantazji, mógłby dla oszczędzenia dłuższych wywodów, tak to skrystalizować: „jest to faktem dokonanym, że impresionizm jest kierunkiem rdzennie i doskonale francuskim. I nie ma na świecie s makosza, któryby mógł równie szybko jak Francuz odróżnić: brawurę od łatwości elipsę od jąkania, styl od cyfry, wstrzemięźliwość od nędzy i niedostatku. Dlatego to zwycięstwo Feliksa Carena, stało się jednogłośne i serdeczne. Jego dzieła bogate i harmonijne, kształty zwięzłe, przestrzeń otwarta i błyszcząca i ponad wszystko pogodna, a kompozycja spokojna, która u Careny przejawia się jak sen — niedościgniony sen, wykonany li tylko cudem sztuki — który uważają Francuzi już od wieków, jako cechę wyłączną malarstwa włoskiego, a która stała się żywym impulsem u Careny do osiągnięcia tak wielkiego powodzenia.

W przeciwieństwie do pięciu płócien Careny — Maraini umiący przyciągnąć publiczność kontrastami, wywiesił siedem obrazów Casorati: a wśród nich „Wypoczynek południowy", z muzeum Revoltella, jako objekt podobny do trzech utworów Careny, a przedstawiający nagie postacie kobiece, wyciągnięte na ziemi, na tle zasłon i dywanów, które swemi fałdami dają nadzwyczajne tło, podnoszące ich okrągłe kształty. Znajdujemy tu wymowną grę jasnych tonów, popielatych fiołków, woskowych ciał, białych porcelan, odtwarzających świat nieruchomy a daleki od wichrów i chmur pełnych sentymentu. Widzimy tu jego rozbrat ze sentymentem posunięty do krańcowości.

Pawilon Littoria w Brukseli, który również sam Maraini urządził, daje nam obraz pełnej dojrzałości talentów żywej a wzruszającej. Wystawia on tu dwóch mistrzów, a to Carenę i Casorati, którzy aczkolwiek różni od siebie, posiadają cechy wspólne: operują własnymi środkami, skłonnymi do wyrażania wszystkiego tego, czego pragną, bez wahania i jąkania.

Idąc dalej w ślad za tymi pięćdziesięciu-trzema malarzami włoskimi, możemy śmiało rzec, że wszyscy oni posiadają piętno charakterystyczne malarzom włoskim. Malarze tak szczerzy jak Soffici w „Toalecie dziecka" Conti w „Japonce", Oppo w „Portrecie córki", Vagnetti, Bacci, Salietti i Roughi ten jasny, emaljowany i romantyczny flamandczyk, — wszyscy oni posiadają płytką psychologję, gdy ich tak zaobserwujemy ze strony rzeczywistej. I także ci którzy szukają doskonałej równowagi w kompozycji jak: Terrazzi, bardzo podziwiany dla swej pracy w dóch gobelinach korporacyjnych, — Saverini, Monterini, Carpi, Cerachini — pozostają pod urokiem harmonijnych barw i gdyby się tu ponownie pojawili z eksponatami w salonie jesiennym, byliby gorąco i serdecznie witani. Mieliby stanowczo więcej uznania od innych których chcę wymienić, jak: Monti, de Pisis, Paulucci, Semeghini, przedstawiciele impresjonizmu francuskiego i tacy jak Boccioni, Sironi, Prampolini, Campigli, Tuni, Tozzi, Paresce, u których odgadujemy w obrazach skrystalizowanie pewnej teorji, o której znaczeniu musi się dopiero pouczyć i poinformować w przeglądach i książkach tej treści.

I dlatego chcę tu wymienić choć jednego: malarza Sironi, który w swym akcie nagości kobiecej, nie szczędzi bogactwa pokarmom, czyniąc go nadmiernie ociężałym, a skąpi go natomiast w obrazie „Rodzina" o tak uroczystym motywie, w którym nogi człowieka oddaje tak koszlawo i niekształtnie!

Informujcie się, studjujcie, a może zrozumiecie: Przeszła generacja wśród której najlepsi uczynili poświęcenie ze swej popularności, dla najrzetelniejszego oddania malarstwu włoskiemu maximum porządku i ładu w szemacie i kompozycji, nieda się porównać z dzisiejszem pokoleniem, u którego nikt niechce się zdobyć na ten wysiłek, pogrążając się coraz dalej w bałaganie naturalizmu fotograficznego i przypadkowego, a tak charakterystycznego, wiekowi dziewiętnastemu.

Obrazy wyżej wymienione, z cyklu wystawowego, przedstawiają wszystkie postacie ludzkie i stoją wszystkie, ku naszej uciesze, — pod znakiem odrodzenia postaci ludzkiej. Dla zagranicy będzie to najlepszym dowodem, jak gorąco zdążają Włosi do zbliżenia się do życia chcąc go dotknąć, tak jak to czynili jego wielcy poprzednicy, odtwarzając Madonny i Świętych.

Tu będzie na miejscu wyrażenie należnej pochwały włoskiej rzeźbie. Wielką słuszność miał Varchi, twierdząc, że prawdziwa istota rzeźby tkwi w odtwarzaniu podmiotu w naturze. Nie możemy w niej nigdy, niczego zniekształcić, a zwłaszcza prawdy, ani też abstrahować od prawdopodobieństwa jeśli nie chcemy w tym wypadku, na wzór Muzułmanów ograniczyć się wyłącznie do gry dekoratywnej pięknych płócien. I oto całe nieporozumienie modernizmu, którego znajdujemy tutaj daleko mniej, aniżeli w malarstwie, a jeśli istnieje, to już wyłącznie tylko u futurystów.

Do tej wystawy obrazów i rzeźb, moglibyśmy zaliczyć wiele statui i popiersi, wykonanych z marmuru przez najlepszych artystów, które jednak niestety z powodu swych olbrzymich rozmiarów i dalekiej przestrzeni, dzielącej Rzym od Paryża, nie mogły być narażone na ryzyko strat. Wymienimy tu kilku autorów tych pięknych marmurowych arcydzieł. Trzy dzieła Selvy świecące i drgające, jedno Rubina cieliste i kwitnące, Berniniego, jedno Marainiego, przedstawiające popiersie pani Stendhal o wyrazie bystrym, przenikliwym i charakterystycznym, wyrytym w marmurze a umieszczone w La Scala, cztery popiersia Messiny, wzory nacechowane prostotą i bajecznym wyrazem pełnym życia, a odtwarzającym pp. Luigi i Ginę Pederzoni, — dwie rzeźby nerwowego Innocenti, dwie Griselli, dwie Marini, dwie ciężkiego Rzymianina Ruggeri, dwie rzeźby młodego portrecisty, którego uznano mistrzem na ostatnim Biennale, biust przedstawiający Marinę Ruspoli Volpi, wykonany przez Antonie Berti odznaczonego złotym medalem Socątellich, a nacechowany surowością modelatury, ściśle określonym charakterem i stylem, któryby już bardziej nie mógł być toskańskim. Do tych wyliczonych artystów, którzyby stanowczo mogli wydać arcydzieła stokroć razy większe od tych jakie wydali, doliczymy rzeźbiarzy: Artura Martini, który nie ogranicza się tylko do zadawania ciosów dłutem, ale chce stworzyć kompozycję jasną, twardo wymodelowaną, akta kobiece dłuta Guerrisi, Innocenti, Minerbi, drżący koń di Dazzi.

Jeszcze wymienię dzieła pośmiertne: Andreottiego sześć dzieł arcyżywych w postaci uczni Wildta cokolwiek nowocześnie powykręcane i zanadto gotyckie.

Możemy więc rzec śmiało, że żadna narodowość współczesna, nie może się pochwalić takiemi rzeźbami, jak Włochy obecnie. Nic więc dziwnego, że obcokrajowcy żądają tej samej sztuki i włoskich artystów dla wykonywania rzeźb w swoich kościołach, gmachach, planach. Takie więc wystawy jak tegoroczna paryska wypełniona po brzegi arcydziełami włoskimi, może dać w pełni obraz tej prawdy i dowieść o wielkości talentów. Na wzór tej ostatniej urządzoną zostanie we Wiedniu w październiku roku bieżącego wielka wystawa rzeźby italskiej. Będzie to jeden z dalszych kroków do zdobycia uznania w tym prymacie.

Wśród tych dzieł artystycznych w pawilonie „Jeu de Paume" znajdujemy trochę sztuki dekoracyjnej. Zebrał ją Pietro Chiesa z wyszukanym smakiem i doświadczeniem.

Nisko naprzeciw okien, rozlokowane płótna mistrzów di Ferrari i Rubelli, wyroby ceramiczne autora Melandri o prześlicznej glazurze, dającej im wartość klejnotów; wyroby ceramiczne Morozzi o doskonałej formie i barwach, wypalane w piecach Cantagalli, wyroby Medjolańczyka Ponti chimeryczne w swoim złocie i bieli, a opanowane zupełnie przez sztukę; Szkła di Vennini niezmiernie filigranowe o barwach „laguny" lekkie i eleganckie o czarze iście kobiecym; rzeźby w szkle i blokach kryształowych Fontany a dłuta Chiesy; wyroby złotnicze Alfreda Ravasco jak np. domek z czarnego agatu wysadzany koralami; żelaza modelowane w ogniu zwinną i potężną ręką Alessandra Mazzucatelli, koronki i hafty według rysunków Tomassa Buzzi wykonane przez Castiglionego. Mały ten zbiór z Grand Palais, można by jeszcze dołączyć do eksponatów w Salon des Artistes decores.

W rozwoju sztuki francuskiej daje się zaobserwować wpływ folkloru chłopskiego i mody murzyńskiej, sięgającej jakich 30 lat wstecz, a nieliczne inowacje, które odnajdujemy, są podane przez ostatni wymysł techniki, zwłaszcza w szkle i krysztale, cedzone w druku i opracowane maszynowo: jest to jaskrawy przykład jak to dziś przemysł wypiera zewsząd sztukę i fantazję. Wracając do sztuki włoskiej musimy stwierdzić, że wszystkie te przedmioty piękne zostały starannie opracowane na wzorach włoskiego malarstwa i rzeźby, co świadczy, że malarstwo i rzeźba włoska zbliżyły się znacznie do przedmiotów i ich roboty wytwórczej — podczas gdy źle zrozumiany impresjonizm i improwizacje protagonistów oraz ludzi nieudolnych o krótkim oddechu, pogrążyły w zapomnieniu artystów tej miary co Giotto, Fattori, Piziano, Segantini, Pisano, Canova — którzy każdy swój krok doprowadzili do doskonałości trwałości i wieczności.

MARJA POTOCKA

Pasteur, zbawca ludzkości

W całej działalności naukowej Pasteura punktem kulminacyjnym był dzień 6 lipca 1885, — dzień, w którym po raz pierwszy wypróbował skuteczność swej szczepionki przeciw wściekliźnie na młodym, dziewięcioletnim chłopcu, Józefie Meisterze.

Toteż słynny Instytut Pasteura słusznie uczcił obecnie pięćdziesiątą rocznicę tego wydarzenia, mającego w historji medycyny współczesnej podwójne znaczenie: dając ludzkości skuteczną i niezawodną broń w walce z jedną z najstraszniejszych chorób, — otworzyło ono nauce nowe, nieznane dotychczas perspektywy w leczeniu chorób zakaźnych drogą tzw. seroterapji i szczepień ochronnych.

* * *

Zbyteczną byłoby rzecza rozpisywać się o przebiegu i objawach wścieklizny, o tych strasznych torturach moralnych i fizycznych, jakie przechodzi chory, nieuchronnie na śmierć skazany. Rzeczy to są od niepamiętnych czasów dobrze znane, — a niestety wiedza ludzka nie znalazła aż do czasów Pasteura żadnego środka leczniczego na tę chorobę.

Zagadnienie weszło na właściwy teren dopiero z tą chwilą, gdy ustalono, że czynnikiem, wywołującym choroby zakaźne, są bakterje.

Ale to był zaledwie początek pracy. Nie wystarczyło poznać właściwe źródło infekcji; trzeba było znaleźć i środki ochronne. I tutaj występuje Pasteur ze swą teorją stopniowego łagodzenia zjadliwości zarazków chorobotwórczych, — wytwarzania z nich szczepionki, uodporniającej organizm przed infekcją.

Idąc po tej linji sporządza Pasteur, ze swymi pomocnikami Chamberland'em i Roux szczepionki przeciw wąglikowi i cholerze drobiu, a rezultaty przeszły jego oczekiwania.

* * *

Z wścieklizną jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Bakterje wąglika czy cholery drobiu dawały się wyodrębnić, hodować w probówkach, — natomiast zarazek wścieklizny pozostał dotychczas nieznanym. Napróżno szukał go Pasteur w ślinie zwierząt wściekłych i w centrach nerwowych: nie udało mu się wyodrębnić go, a temmniej sztucznie wyhodować.

Wiedziony intuicją rozwiązał jednak tę kwestję niejako drogą pośrednią. Doświadczenia przeprowadzane na zwierzetach pouczyły go, że zastrzy-

knięcie podskórne śliny zwierzęcia dotkniętego wścieklizną zdrowemu zwierzęciu nie zawsze wywołuje wybuch tej choroby. Natomiast injekcja tej śliny do centrów nerwowych zwierzęcia spro wadza nieuchronnie wściekliznę.

Prostym był zatem wniosek, że bakterje wścieklizny muszą atakować przedewszystkiem centra nerwowe i tam się rozwijają.

Od tego odkrycia do wyprodukowania szczepionki był już tylko jeden krok. Miejsce szklanych probówek zajął tylko rdzeń pacierzowy królików, zakażonych wścieklizną. A więc hodowla bakteryj wprost na żywej tkance.

* * *

Następną fazą pracy było znalezienie sposobu na osłabienie zjadliwości tych zarazków, tak aby z wrogów człowieka zamieniły się na jego sprzymierzeńców w walce ze straszną chorobą.

Drogą żmudnych doświadczeń doszedł Pasteur do wniosku, że w miarę postępującego wysuszenia rdzenia pacierzowego, zarazki tracą coraz więcej ze swej zjadliwości, — tak, że po upływie dziesięciu dni stają się zupełnie nieszkodliwe.

Teraz czas już był przystąpić do pierwszych prób na żywym materjale. Podejmował je Pasteur na psach, stosując początkowo szczepienia prewencyjne z najlepszym skutkiem. Co więcej, aplikował te szczepienia psom, poprzednio pokąsanym lub zakażonym wścieklizną drogą laboratoryjną. I żaden z tych szczepionych psów nie zapadł na wściekliznę.

Wyniki doświadczeń Pasteura skontrolowała specjalna komisja ministerjalna, której orzeczenie wypadło dla Pasteura korzystnie. Mógł tedy na kongresie w Kopenhadze oświadczyć z tryumfem, że odkrył niezawodny środek na wściekliznę u psów.

* * *

U psów tak, — ale u człowieka? Prędzej czy później trzeba było zdecydować się i na ten, ostateczny eksperyment. Sprawa przedstawiała się o tyle może łatwiej, że choroba ta wybucha u ludzi w ciągu 15—60 dni od chwili ukąszenia, — jest zatem dość czasu do aplikowania stopniowo coraz silniejszej szczepionki uodporniającej.

Mimo wszystko jednak Pasteur ociągał się ze zastosowaniem tej swojej metody „in anima vili". Z pomocą przyszedł mu przypadek: w pierwszych dniach lipca 1885 zgłosił się do niego mały Józef Mester, pokąsany straszliwie przez wściekłego psa. Na usilne nalegania matki chłopca Pasteur zastrzyknął mu dnia 6 lipca pierwszą porcję szczepionki, stosunkowo najsłabszej. Odtąd codziennie szły dalsze injekcje, coraz mocniejsze. Meister został uratowany!

Wkrótce potem drugi tryumf Pasteura: zupełne wyleczenie małego pastuszka Jupille. Sukces tem większy, że pacjent pokąsany był już dawniej, a rany były bardzo głębokie.

* * *

Od tego czasu tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi uratowanych zostało od strasznej śmierci.

W okresie od 1 stycznia 1886 do 1 stycznia 1935 w Instytucie Pasteura w Paryżu leczyło się 51.057 osób, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta.

Zdarzały się, coprawda, wypadki śmierci, przeważnie ludzi, którzy zapóźno zgłosili się do leczenia. Ostatni taki wypadek, — jeden jedyny — zaszedł w roku 1924.

Od tego czasu, w ciągu ostatnich dziesięciu lat, w pośród sześciu tysięcy pacjentów instytutu nie było ani jednego wypadku śmierci.

Dzisiaj na całym świecie istnieją podobne instytuty (w Polsce Państw. Zakłady Higjeny i Zakład Bujwida w Krakowie), w których tysiące ludzi korzysta z dobrodziejstwa wiekopomnego odkrycia Pasteur'a. *(dr. L.)*

W ognistym pierścieniu wulkanów

Niedawno dopiero obiegły świat alarmujące wieści, iż groźny wulkan Krakatoa zaczyna objawiać wzmożoną działalność. Na szczęście — tym razem alarm okazał się fałszywym: Krakatoa przycichł jakoś i zdaniem geologów niebezpieczeństwo większego wybuchu narazie przynajmniej, minęło.

Czy jednak przewidywania i obliczenia te okażą się trafne, — to dopiero przyszłość pokaże.

Krakatoa bowiem jest jednym z najgroźniejszych wulkanów na kuli ziemskiej. W świeżej pamięci jeszcze zostaje katastrofalny wybuch tego wulkanu w roku 1883, — określany przez geologów jako *największy fenomen geologiczny*, jaki ludzkość wogóle mogła obserwować.

* * *

Wybuch rozpoczął się dnia 25 sierpnia 1883; towarzyszyły mu głuche grzmoty podziemne, a woda morska dookoła wyspy poprostu kipiała. W dwóch następnych dniach następowały kolejno gwałtowne erupcje, w wyniku których dwie trzecie wysepki Krakatoa zostało poprostu rozerwane na kawałki. Wedle przybliżonych obliczeń wulkan wyrzucił około 18 miljardów metrów kubicznych lawy i bloków kamiennych, których odłamki znajdowano w odległości 80 kilometrów.

Grozę sytuacji potęgował fakt, że równocześnie przyszło gwałtowne trzęsienie ziemi. Olbrzymie fale morskie, dochodzące do 35 mtr. wysokości, uderzyły na brzegi, zalewając i niszcząc wszystko, co napotkały po drodze.

Ofiarą tego katastrofalnego wybuchu padło blisko 40 tysięcy ludzi.

O niesłychanej sile wybuchu świadczy fakt, że detonacje słychać było w promieniu 3.000 kilometrów, a wzburzone fale morskie dochodziły aż do Panamy, Cejlonu i brzegów Japonji.

A przez parę miesięcy jeszcze popiół wyrzucany przez wulkan i uniesiony wiatrem w wyższe rejony atmosfery wywoływał niezwykłe zjawiska atmosferyczne, obserwowane nawet i w Europie.

Sam wulkan zapadł się na głębokość 300 mtr. pod powierzchnię wody; — mimo to jednak pozostał dotychczas aktywnym, przypominając się od czasu do czasu nowym wybuchem. Ostatni taki wybuch na większą skalę obserwowano w roku 1929.

* * *

Krakatoa, leżący w Archipelagu Sundajskim, jest najgroźniejszym, ale nie jedynym wulkanem w tej okolicy. I owszem, można powiedzieć, że całe Indje holenderskie, to wyjątkowo uprzywilejowana kraina wulkanów. Na samej Jawie znajduje się ich blisko setka, z których najważniejszemi są: *Semeru*, zwany świętą górą, *Soembing*, nazywany też Gumung, dalej *Pepandajang* i Gulungung.

W pobliżu, na wyspie Sumbawa znajduje się wulkan *Tembora*, którego ostatni wybuch, w roku 1815 był najbardziej imponującym, o ile idzie o masę wyrzuconej lawy i ziemi, oszacowana na 150 miljardów mtr. kubicznych. Podczas tego wybuchu w promieniu 500 klm. panowała zupełna ciemność, gęsty popiół bowiem unoszący się w powietrzu, zasłonił zupełnie słońce.

* * *

Wulkany na Archipelagu Sundajskim stanowią jedno ogniwo w „Ognistym pierścieniu", okalającym Ocean Wielki, a obejmującym ponad 300 aktywnych wulkanów.

A więc w Ekwadorze: *Cotopaxi, Coyambo i Sangay*. W Kolumbji *Purace*, w Nikaragua: *Massaya*, w Meksyku *Popocatepelt*.

Skolei idą wulkaniczne Wyspy Aleuty, Kamczatka, Kurylskie, dalej słynny wulkan *Fudżi - Yama* w Japonji, oraz na Filipinach *Taal*, którego wybuch w roku 1911 pociągnął za sobą 1400 ofiar.

Wreszcie Wyspy Salomona, Nowe Hebrydy i Nowa Zelandja.

Nawet w Antarktydzie mamy dwa wulkany *Erebus i Terror*, oba wysokości 3.800 metrów, a pierścień zamykają wyspy Szetlandzkie na południowych krańcach Ameryki.

* * *

Nieco na uboczu od tego „pierścienia ognistego", leży słynny wulkan *„Mont Pelée"* na Martynice, który zdobył sobie smutną sławę swym wybuchem w roku 1902, niszcząc kompletnie miasto Saint - Pierre i powodując śmierć 28 tysięcy mieszkańców. Wybuch ten był o tyle charakterystyczny, że obok bloków kamiennych i lawy wyrzucił wulkan olbrzymie masy gazów i pary wodnej, w której nieszczęśliwe ofiary poprostu ugotowały się żywcem.

Wspomnieć wreszcie trzeba o wulkanach, znajdujących się na Morzu Śródziemnem: *Wezuwjusz, Etna, Stromboli* we Włoszech, — oraz *Vulcano* i *Santorin* na archipelagu greckim.

Te właśnie wulkany jedynie znane były już w starożytności: wspomina o nich Wirgiljusz w swojej Eneidzie, — a Etna uchodziła za siedlisko Wulkana, który w jej wnętrzu miał swój warsztat i wykuwał gromy dla Jowisza

* * *

Najciekawszy typ przedstawiają wulkany podmorskie, których wybuchy powodują niekiedy tworzenie się nowych wysp. W ten sposób powstała w roku 1866 w grupie wysp Santorin nowa wysepka z czynnym wulkanem, któremu nadano nazwę *Giorgios*. Opowiadają, że ówczesny król grecki Jerzy bardzo był z tego niezadowolony. Uważał bowiem, że monarcha konstytucyjny nie powinien być ojcem chrzestnym wulkanu, siejącego śmierć i zniszczenie.

Zabawną była historja z małą wysepką *Julia*, która w lipca 1831 wyłoniła się nagle z morza w pobliżu Sycylji. Wyspę zajęła natychmiast Anglja, dosłownie jeszcze „na gorąco". Wywołało to energiczny protest ze strony króla Neapolu. Zanim jednak sprawa została definitywnie załatwioną, — wyspa poprostu zniknęła, pogrążając się z powrotem w falach morza. *(k.)*

Powojenna młodzież

Scharakteryzować dzisiejszą młodzież, jej światopogląd, nastawienie psychiczne, upodobania, — to rzecz wcale nie łatwa.

Zagadnienie to omawia na łamach jednego z poważnych dzienników paryskich znany publicysta Emanuel Godard. Wywody jego, jakkolwiek dotyczą przedewszystkiem młodzieży francuskiej, mają znaczenie ogólniejsze. Dlatego przytaczamy z nich najistotniejsze ustępy, zdolne zainteresować i polskiego czytelnika.

* * *

Młodzież dzisiejsza, to pokolenie wojenne i powojenne, pełne kontrastów które tem dobitniej zarysowują się w dzisiejszych, bardzo ciężkich i trudnych warunkach bytu.

Pierwszym charakterystycznym jej rysem jest przedwczesna dojrzałość, połączona ze skrajnym realizmem.

To nawskróś realistyczne nastawienie dzisiejszej młodzieży wyraża się w jej lekturze: pisarze romantyczni poszli w kąt, ustępując miejsca autorom poważnym, ścisłym naukowcom. Młodzieniec 17-letni uważałby sobie za wstyd, gdyby nie posiadał choć ogólnikowej znajomości teorji Einsteina, lub nie znał najnowszych wynalazków z dziedziny technicznej.

Wchodzi w życie pod znakiem kultu liczby, ścisłej kalkulacji, pod znakiem miary i wagi. Spogląda na nie poważnie — i tej samej powagi domaga się od drugich. Nie potępia bezwzględnie nikogo, — z przeciwnikami chętnie wdaje się w dyskusje, nie uważając ich nigdy ani za wrogów, ani za ludzi głupich, — bo każdy ma rację, ze swego punktu widzenia.

Realistą jest również w sferze uczuć, — nie znosi sentymentalizmu, skłonny raczej do brutalności.

Młodzież dzisiejsza nie śpiewa, śmieje się mniej i rzadziej. Bawi się więcej, huczniej, intensywniej, — ale nawet w tej zabawie brak prawdziwej, beztroskiej radości.

W ślad za tem idzie pewne zniechęcenie, pewien lęk przed życiem. To jest powszechna, najgroźniejsza choroba dzisiejszej młodzieży. Inna rzecz, że obecne stosunki przyczyniają się w dużej mierze do powstawania i rozwinięcia tego pesymizmu. Na cóż bowiem przydadzą się zdolności, nabyta wiedza, wszystkie wartości moralne, — skoro jedynym prawie, a w każdym razie decydującym momentem jest kwestja posiadanego majątku?

Nic dziwnego, że w tych warunkach przychodzi zniechęcenie, przychodzi „spleen": młodzi starzeją się przedwcześnie, nie zaznawszy prawdziwej rozkoszy młodości.

Ale młodość ma jednak swoje prawa. Daje przedewszystkiem ufność i wiarę we własne siły, — daje tę cudowną równowagę umysłu, która nie pozwoli im zamienić się w jakichś śmiesznych donkiszotów, ani w równie śmiesznych Sancho - Pansów.

Młodzież, — to ta prawdziwa rezerwa złota, która wśród ogólnej deprecjacji energji nie dopuści do obniżenia wartości intelektualnych narodu do zera. *(n.)*

Zagadka „Wysp Wielkanocnych"

Niedawno temu powróciła do Europy francusko - belgijska ekspedycja naukowa, która przez blisko pół roku prowadziła poszukiwania archeologiczne i etnologiczne na Wyspach Wielkanocnych.

Wyniki tych badań przyczyniły się częściowo do obalenia legend i fantastycznych hipotez na temat tych małych wysp, rzuconych wśród bezmiarów wód Pacyfiku.

* * *

Wyspy Wielkanocne odkryte zostały dnia 6 kwietnia 1722 przez holenderskiego żeglarza Reggenweina, a następnie zbadane przez Gonzalesa w roku 1770 i Cooka w roku 1774.

Pierwszy ich odkrywca nadał im nazwę „Oster Eilandt" (Wyspy Wielkanocne) dla upamiętnienia dnia ich odkrycia, w same święta Wielkiej Nocy. Francuzi nazywają je „Rapa Nui" wedle nomenklatury przyjętej w Tahiti, — natomiast pierwotna ich nazwa w narzeczu krajowców brzmiała: „Te-Pito - Te - Henua", co oznacza „pępek świata".

Jest to archipelag małych wysepek, z których największa, ze „stolicą" i portem Rangaroa, ma kształt nieregularnego trójkąta o dwóch bokach długości ca. 17 klm., a trzecim większym, długości 24 klm.

Dzieli ją blizko 4.000 klm. od wybrzeża Chili i tyleż prawie od Tahiti, — co sprawia, że dotychczas stanowi ona niejako rezerwat, nietknięty ręką cywilizacji. W rezerwacie tym żyje 423 tubylców, oraz czterech Europejczyków zajętych w służbie angielskiej Kompanji handlowej, która od rządu chilijskiego nabyła prawa eksploatacji bogactw naturalnych wyspy.

Coprawda, — niewiele tam jest do eksploatowania. Wyspa jest pochodzenia wulkanicznego; znajduje się na niej pięć wygasłych wulkanów, z których najwięcej znanym jest wysoki na 160 mtr. Rano - Raraku.

Budowa wulkaniczna wyspy sprawia, że niema na niej żadnych rzek, poza jednym maleńkim strumykiem; w kraterach wulkanów zbiera się woda deszczowa, tworząc małe jeziorka.

Cała wyspa niemal pokryta jest bujną trawą, na której przez cały rok pasą się stada bydła. One to stanowią jedyne bogactwo wyspy, względnie angielskiej Kompanji.

* * *

Posiadają jednak Wyspy Wielkanocne inne osobliwości, które przez długie lata stanowiły emocjonującą zagadkę dla badaczy.

Są to mianowicie potężne monolity, dochodzące do wysokości 15 mtr. a rozmieszczone po zboczach wygasłego wulkanu Rano - Raraku. Przedstawiają one wyrzeźbione prymitywne głowy ludzkie o zupełnie niezwykłych rysach twarzy. Wydawało się rzeczą niepojętą, jakim sposobem kolosalne te bloki mogły zostać przetransportowane i ustawione w rozmaitych punktach.

Nie mniej ciekawości budziły znalezione na wyspie w dużej ilości tabliczki, długości około 1 metra, z wyrytemi na nich hieroglifycznemi rysunkami i znakami, których nikt dotąd nie zdołał odcyfrować.

Wysuwano hipotezę, że Wyspy Wielkanocne są cząstką jakiegoś tajemniczego kontynentu, który przed wiekami skutkiem kataklizmu zapadł się w morze. Że kiedyś, przed wieloma wiekami, musiał mieszkać tam jakiś nieznany lud, stojący na wysokim stopniu kultury. Ostatniemi śladami tej kultury mają być owe posągi i tabliczki z tajemniczem pismem.

* * *

Zagadnienia te znalazły obecnie częściowe przynajmniej rozwiązanie. Starannie przeprowadzone pomiary antropometryczne pozwoliły ustalić ponad wszelką wątpliwość, że mieszkańcy Wysp Wielkanocnych należą do typu polinezyjskiego, od którego nie różnią się ani budową ciała, ani językiem ani obyczajami. Gdy zaś, skutkiem zupełnej niemal izolacji, zachowali czystość rasy, — zatem upada hipoteza jakiegoś legendarnego szczepu i legendarnego, zatopionego kontynentu.

Co się tyczy onych zagadkowych posągów, to są one zbudowane z materjału znajdującego się w dużej obfitości w okolicach wygasłych wulkanów. Transport tych monolitów, wagi kilku tonn, nie przedstawiał nadzwyczajnych trudności: szło przecież o stoczenie ich z góry na zbocza wulkanów, co nawet dość prymitywnemi środkami dało się uskutecznić.

Wedle obliczeń archeologów posągi te nie liczą więcej, jak 4 do 5 wieków.

Zagadką jednak pozostaje, w jakim celu je rzeźbiono i ustawiano w pewnym symetrycznym porządku. Wedle relacji pierwszych badaczy ilość tych posągów dochodziła do trzystu. Znaczna ich część uległa już jednak zniszczeniu, w czem dużą winę ponosi wyprawa Thomsona w roku 1886. Członkowie tej ekspedycji wzięli się do badań w sposób zupełnie dyletancki i w rezultacie zniszczyli dużo ciekawego materjału.

Przeprowadzone ostatnio badania geologiczne obalają również hipotezę zatopionego kontynentu: pod względem swej struktury Wyspy Wielkanocne nie różnią się zupełnie od innych wysp Polinezji.

* * *

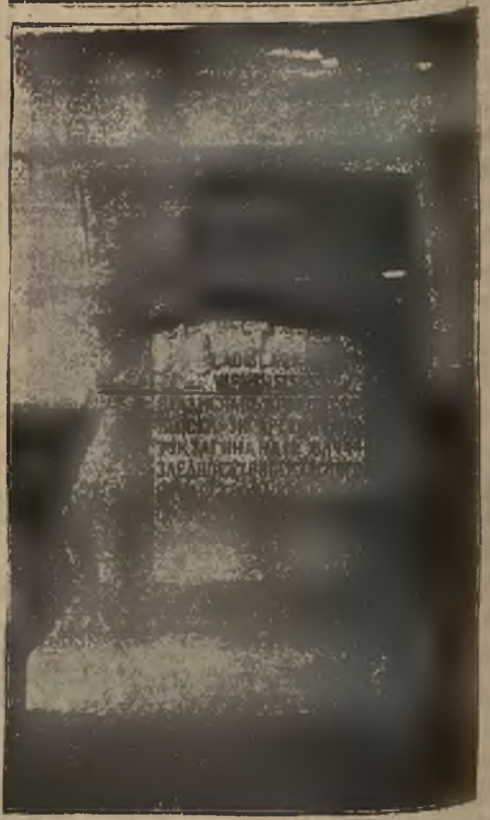
Pozostałaby jeszcze kwestja owych tabliczek z wyrytemi na nich hieroglifami. Dzisiaj przeważa wśród archeologów opinja, że nie jest to — jak przypuszczano — jakieś nieznane pismo runiczne, — lecz poprostu rodzaj prymitywnych obrazków, jakim podobne znajdywano niejednokrotnie np. na Markizach lub w Nowej Zelandji.

Czy wszystkie te konkluzje, do jakich doszli członkowie ostatniej ekspedycji, są trafne i uzasadnione, — niepodobna orzec. I z pewnością zagadka Wysp Wielkanocnych przez długie jeszcze lata zaprzątać będzie umysły badaczy.

(kr.)



Kurhan Władysława Warneńczyka pod Warną.



Pomnik na kurhanie pod Warną.

P. OVIDIUS NASO.

Zaraza w Eginie

Z „Przemian", arcydzieła literatury rzymskiej. — Junona, rozgniewana na Jowisza, że umiłował nimfę Eginę, matkę króla Eaka, nawiedziła wyspę Eginę morowem powietrzem. Opowiada o tem król Eak.

Zarazę zesłał na nas za to gniew Junony,
Że mianem jej rywalki nazwano te strony.
Póki nieszczęściem ziemskiem zdała się być, póki
Tajna była przyczyna, próbowano sztuki
Lekarskiej — lecz zapasy jej były daremne.
Nasamprzód mgły nad ziemią zwiesiły się ciemne;
Wśród czarnych nocy dyszał ciężki żar zarazy.
Przez czas, gdy księżyc rogi złączył cztery razy
I znowu się zmniejszając, wyprządł krąg swój cały,
Śmiercionośnym oddechem ciepłe wiatry wiały.
Zatruł tak wszystkie stawy i źródła bijące,
Po pustych polach wężów wiło się tysiące,
Sącząc w rzeki truciznę. Zrazu wołów stada,
Owce, psy, ptaki siła zarazy owłada.
Widzi nieszczęsny rolnik, jak silny byk pada
Przy pracy — i kładzie się pośród brózd na roli.
Beczą żałośnie trzody, bo oto powoli
Tracą wełnę, a ciała rozkłada zniszczenie.
Nawet koń, wielkiej niegdyś sławy na arenie,
Plami pamięć palm,[1]) niczem jest mu trjumf dawny,
Jęczy u żłobu, śmierci przeznaczon niesławnej.
Nie sroży się dzik, łania już nogom nie zwierza
Ocalenia, na bydło niedźwiedź nie uderza —
Wszystko osłabło. W lasach, przy drodze, na łące
Pełno ciał, które leżą. Wyziewy trujące
Prują powietrze. Uwierz, psy, ptaki uchodzą,
Nie tknąwszy ich. Tak gniją i wyziewem szkodzą,
Rozszerzając zarazę szeroko dokoła...
Przyszła wreszcie groźniejsza i w wieśniacze sioła,
I w wielkich miastach dała uczuć się jej władza.
Zrazu płoną wnętrzności: skryty ogień zdradza
Tylko rumieniec i dech, co pali jak warem.
Obrzmiewa szorstki język; usta, wyschłe żarem,
Otwierają... powietrza dech zatruty chłoną...
Nie chcą łoża, wstręt czują przed wszelką zasłoną,
Na zimnej ziemi kładą się, ale ich ciała
Zamiast ochłodzić — od nich ziemia się rozgrzała.
Na nic lekarze! bo i pośród ich się sroży
Klęska i na swej sztuce wychodzą najgorzej.[2])
Im skrzętniej ktoś się spieszy do posługi bratniej,
Tem wcześniej ginie. A gdy nadziei ostatniej
Zbrakło, sądząc, że tylko śmierć kres tej chorobie
Kładzie, już o ratunku nie myślą sposobie —
Bo też niema ratunku. Zbywszy wstydu, rzeszą
Zmieszaną do rzek, źródeł i do studni śpieszą...
Piją — i życie prędzej gaśnie niż pragnienie.
Niektórzy wstać nie mogą i ostatnie tchnienie
Wydają w wodzie. Ale i tak wielu ludzi
Pije z niej. Łóżko w każdym wstręt największy budzi:
Zrywają się, a jeśli sił zabrakło komu,
Stacza się na ziem. Każdy ucieka od domu
Jak od miejsca zatraty: bo skoro przyczyny
nie znają, w *miejscu* chcą się dopatrywać winy.
Na półżywi drogami wloką się, o ile
Stać mogą; inni jęcząc, leżą w ziemi pyle
I ostatni raz senne otwierając oczy,
Obwisłe ręce wznosząc do gwiezdnych przeźroczy,
Konają tu i ówdzie, gdzie ich śmierć zaskoczy.
Com czuł wtedy? i jakiej trzeba było nędzy,
Abym, życiem wzgardziwszy, chciał umrzeć czemprędzej?
Gdzie zwrok obrócisz, ludzkie trupy leżą wszędzie
Jak z wstrząśniętego dębu opadłe żołędzie
Albo zgniłe owoce, które wiatr postrąca...
Oto o licznych schodach świątynia błyszcząca;
Jowisz w niej mieszka. Kto tam nie nosił bez skutku
Kadzideł! Ileż razy, właśnie kiedy w smutku
Ojciec za synem błaga, lub za mężem żona,
U ołtarzy, litości nieznających, kona,
Trzymając jeszcze w ręku niespalone ziarna!
Ileż razy zaczęła się czynność ofiarna:
Czyste wino lał kapłan wołom między rogi —
Gdy niespodzianie cios je powala złowrogi.
Ja sam za siebie, za kraj i za dzieci troje
Ofiarowałem, gdy wtem nagle zwierzę moje
Pada, rycząc posępnie, nietknięte razami
Topora... podłożony nóż krwi trochę plami...
W chorych włóknach już władza wróżenia nie gościł[3])
Wtargnęła ciężka niemoc do samych wnętrzności.
Przed świętemi oddrzwiami, u ołtarza progów
Leżały trupy, budząc nienawiść do bogów.
I niejeden też stryczek zakłada na szyję,
Przyzywając los — w śmierci przed śmiercią się kryje
Nie grzebią, lub bez darów, bez zwykłych obrzędów
Na stosy ciała kładą. Żadnych niema względów:
O stosy walczą... i im cudzy stos się nieci...
Nikt nie płacze, a dusze starców, mężów, dzieci
Których nikt nie opłakał, błądzą wśród żałoby —
Brakło drzewa na ogień i miejsca na groby.

Przełożył ARTUR ĆWIKOWSKI

[1]) Palma — nagroda za zwyciestwo na arenie.

[2]) Lekarze, niosacy pomoc, są najbardziej narażeni.

[3]) Starożytni wróżyli z wnetrzności zabitych zwierząt.

Śląskie Konserwatorjum Muzyczne w Katowicach

GENEZA KONSERWATORJUM.

Mocno, nieugięcie strzegł Śląsk swojej polskości, a strażą były mu wiara, język, dawny obyczaj, oraz pieśń swojska, która od wieków brzmiała na tej ziemi, jako dobitny, niezłomny dowód łączności z polską macierzą. Lud ten kochą pieśń swoją, była ona dla niego i jest sztandarem poczucia narodowego; pod hasłem pieśni rozwijała się też praca oświatowa i narodowa w latach niewoli. Gdy zaś zajaśniał dzień wielkiego wyzwolenia, zawrzała planowa, energiczna twórcza praca we wszystkich dziedzinach gospodarczych, kulturalnych i społecznych. Nie zapomniano też o sztuce, zwłaszcza o muzyce, posiadającej na śląskim terenie tak wybitne i ważne posłannictwo.

Rolę muzyki jako czynnika kulturalnego ocenił w całej pełni wojewoda śląski Dr. Michał Grażyński, który zwróciwszy baczną uwagę na konieczność reorganizacji, zawodowego szkolnictwa muzycznego, postanowił stworzyć w Katowicach Konserwatorjum Muzyczne. Celowość tej inicjatywy uznał też Sejm śląski, wstawiając do budżetu r. 1928/29 odpowiednią kwotę dla zapoczątkowania akcji. Konieczność stworzenia Konserwatorjum wypływała w pierwszym rzędzie z wrodzonej muzykalności ludu śląskiego, który tak serdecznie umiłował pieśń polską. Pogłębienie i umocnienie tej muzykalności było głównym powodem tworzenia Konserwatorjum.

Niepoślednią rolę odgrywał również dalszy czynnik kulturalno-społeczny. Na obszarach tak zw. okręgu przemysłowego dawał się odczuwać brak odpowiednio przygotowanych instrumentalistów. Zapotrzebowanie okazało się stałe i znaczne; na terenie Śląska działają przecież liczne orkiestry związkowe, kościelne, fabryczne, kopalniane. Pozatem w szeregach nauczycielstwa zaznaczał się niedostatek odpowiednio wykwalifikowanych muzyków, którzy mogliby umiejętnie szerzyć zamiłowanie polskiej pieśni.

Nowopowstająca uczelnia miała pokryć powyższe zapotrzebowania przez danie absolwentom wiedzy muzycznej oraz uregulowanie ruchu muzycznego ze stanowiska t. zw. polityki i ekonomji muzycznej. Konserwatorjum bowiem, zwłaszcza jako instytucja państwowa, musi czuwać nad tem, aby wychowankowie jej, obierając sobie za cel życia zawód muzyczny, nie doznali w przyszłości rozczarowania, powiększając kadry bezrobotnych. Z nauki więc i pomocy społeczeństwa mogą korzystać tylko ci, którzy posiadają odpowiednie warunki i zdolności, gwarantujące należyty rozwój muzyczny.

PIERWSZE PRACE ORGANIZACYJNE

Idea Wojewody Dr. Grażyńskiego zrealizowała się w szybkiem tempie. W skład komitetu organizacyjnego weszli: wicewojewoda Dr. Tadeusz Saloni, radca Karol Kocych i dyrektor Witold Friemann. Komitet w ciągu kilku miesięcy zorganizował uczelnię, której otwarcie nastąpiło w październiku 1929. O konieczności stworzenia tej instytucji może między innemi świadczyć fakt, iż w pierwszym roku nauki zgłosiło się około 100 uczniów, przyjęto — rozumie się — mniejszą liczbę, w latach zaś następnych stosowano troskliwą selekcję w materjale uczniowskim.

Dzięki poparciu kompetentnych czynników Konserwatorjum uzyskało dogodne pomieszczenie w gmachu wojewódzkim, przeprowadzono celowe adaptacje w poszczególnych klasach i sali koncertowej, zbudowano organy, zakupiono wyborowe instrumenty. Obecnie Konserwatorjum ma do rozporządzenia oprócz organów cztery fisharmonje, dziesięć fortepianów (w tem kilka koncertowych) dziesięć pianin, bogaty zbiór instrumentów smyczkowych, harfe, komplet instrumentów dętych. Stworzono bibljotekę nutową i książkową, obejmującą zasadnicze i wartościowe dzieła z zakresu historji, teorji i pedagogiki muzycznej. Skompletowano pierwszorzędny inwentarz i środki pomocnicze, jak np. aparat projekcyjny, gramofon, radjo. Dużą wartością odznacza się zbiór płyt gramofonowych, mających doniosłe znaczenie w w współczesnej pedagogji muzycznej. Dzięki płytom mogą np. słuchacze historji muzyki usłyszeć najcelniejsze dzieła, zwłaszcza chóralne i orkiestralne. Również śpiewacy i instrumentaliści mają sposobność poznania najsłynniejszych wirtuozów, skontrolowania szczegółów technicznych, które na płytach uwydatniają się plastycznie.

Równolegle z rozbudową rzeczowego uposażenia uczelni postępowała praca nad wewnętrzną organizacją oraz kompletowaniem grona nauczycielskiego. Na podstawie konkursu zapewniono uczelni pracę fachowych nauczycieli, instrumentalistów, wokalistów, dyrygentów i teoretyków. Obecnie grono nauczycielskie obejmuje 27 osób, między któremi spotykamy muzyków znanych ze swej działalności kompozytorskiej, wirtuozowskiej i naukowej. Po przeniesieniu się dyr. Witolda Friemanna do Warszawy (1933 r.), powołany został uchwałą grona nauczycielskiego na dyrektora Konserwatorjum prof. Faustyn Kulczycki, wybitny dyrygent i teoretyk, który w ciągu dwóch lat umiejętnie przeprowadził dalszą organizację instytucji.

ORGANIZACJA PRACY NAUKOWEJ I PEDAGOGICZNEJ.

Przełomową datą w historji dotychczasowego rozwoju Konserwatorjum był rok 1934.Dnia 16 maja tegoż roku Sejm Śląski uchwalił ustawę, powołującą do życia „Śląskie Konserwatorjum Muzyczne w Katowicach" i w ten sposób ustabilizował byt uczelni, stwierdzając tem samem jej potrzebę, celowość i owocną działalność.

Śląskie Konserwatorjum obejmuje siedem działów: I. Wydział teorji, kompozycji i dyrygentury; 2. Wydział fortepianu, organów i harfy; 3. Wydział instrumentów smyczkowych; 4. Wydział instrumentów dętych; 5. Wydział wokalny; 6. Wydział pedagogiczny i kształcenia nauczycieli muzyki oraz śpiewu w szkołach powszechnych, średnich ogólnokształcących i seminarjach nauczycielskich; 7. Samodzielny Wydział wojskowy (Wojskowa Szkoła Muzyczna). Ilość lat nauki na poszczególnych Wydziałach wynosi 6—9 lat. Słuchaczów przyjmuje się na podstawie egzaminu konkursowego; w razie równego stopnia uzdolnienia pierwszeństwo przyznaje się Ślązakom.

Na każdym Wydziale obowiązują oprócz głównego przedmiotu (np. skrzypce, wiolonczela, flet, etc.) inne przedmioty, posiadające ważne znaczenie w kształtowaniu muzycznych zdolności. Należą tutaj solfeż, zasady muzyki, akustyka i instrumentoznawstwo, harmonja, kontrapunkt analityczny i formy muzyczne, historja muzyki. Słuchacze biorą nadto obowiązkowy udział w klasach kameralnych, orkiestralnych i śpiewu chóralnego. Oprócz powyższych przedmiotów wykładane są inne, przeznaczone dla specjalnych działów jak np. czytanie partytur, instrumentacja, fizjologja i kultura śpiewu, kontrapunkt specjalny, kompozycja, metodyka fortepianu, skrzypiec i śpiewu, dyrygentura itd., nadto pewne przedmioty ogólno-kształcące jak nauka obywatelska, historja sztuki, logika i psychologja. Odrębne przedmioty przeznaczone są także dla przyszłych organistów (np. chorał gregorjański, liturgja, rytuał kościelny.).

Niektóre działy Konserwatorjum, mają duże znaczenie nietylko ściśle artystyczne, ale i muzyczno-społeczne, np. Wydział pedagogiczny, przygotowujący przyszłych nauczycieli muzyki i śpiewu w szkołach ogólnokształcących i powszechnych. Absolwenci Wydziału pedagogicznego składają końcowy egzamin przed specjalną Komisją państwową, ustanowioną przy Śląskiem Konserwatorjum rozporządzeniem Ministerstwa W. R. i O. P., zauważyć zaś należy, że na terenie Państwa działają dotychczas tylko cztery Komisje Państwowe: w Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Katowicach. Egzaminy odbywają się w dwóch terminach wiosennym i jesiennym; oprócz absolwentów Wydziału pedagogicznego zgłaszają się do egzaminów również eksterniści z innych miejscowości. Powyższy dział Śl. Konserwatorjum ma niepośledne znaczenie dla rozbudowy kultury muzycznej na Śląsku; absolwenci mogą bowiem zaradzić brakowi wykwalifikowanych dyrygentów chórów i orkiestr po wsiach i małych miasteczkach.

Dowodem wielkiego zaufania miarodajnych sfer dla naukowego poziomu Konserwatorjum w Katowicach jest fakt istnienia przy tej uczelni jedynej w Polsce Wojskowej Szkoły Muzycznej. Szkoła ta kształci kandydatów na kapelmistrzów wojskowych oraz zawodowych podoficerów-orkiestrantów. Kierownictwo naukowe spoczywa w rękach dyrekcji Konserwatorjum; wykładają nauciele tejże uczelni. W ciągu trzechletniej nauki kandydaci wyczerpują przewidziany programem zasób wiadomości, zdobywają odpowiednią wiedzę muzyczną oraz należycie opanowują grę na odpowiednim instrumencie smyczkowym i dętym. Istnienie Wojskowej Szkoły Muzycznej w Katowicach posiada poza swem praktycznem zadaniem również wielkie ideowo-narodowe znaczenie. Nie należy przecież zapominać, że tutaj do Katowic zjeżdżają z całej Polski kandydaci na zawodowych kapelmistrzów i orkiestrantów wojskowych, którzy później w przeróżnych środowiskach Państwa Polskiego szerzyć będą znajomość ziemi i kultury śląskiej.

Energicznie pracują również inne Wydziały Konserwatorjum, kształcąc wokalistów, instrumentalistów i teoretyków. Między słuchaczami uczelni spotykamy jednostki wybitnie uzdolnione, które w przyszłości powinne pożytecznie pracować na niwie koncertowej. Nie brak również kompozytorskich talentów. Duży nacisk położony jest na przygotowanie wykwalifikowanych sił nauczycielskich, łączących gruntowną znajomość metody z wszechstronnem opanowaniem danego działu muzycznego. Nie mniejsze znaczenie posiada Wydział instrumentów muzycznych, kształących przyszłych członków najrozmaitszych orkiestr. Umiejętnie jest także prowadzony dział przygotowujący organistów kościelnych.

Celem usprawnienia pedagogicznej pracy Konserwatorjum przeprowadzono sprężystą organizację wewnętrzną. Wykładowcy każdego Wydziału tworzą Radę Wydziałową, do której — między innemi — należy piecza nad podniesieniem poziomu pracy pedagogicznej wydziału, ulepszanie metod nauczania, oraz praca naukowa w zakresie pedagogji i metodologji przedmiotów objętych wydziałem.

DZIAŁALNOŚĆ ZEWNĘTRZNA KONSERWATORJUM.

Odzwierciedleniem tej pracy są produkcje słuchaczy Konserwatorjum. Produkcje te dzielą się na dwie kategorje: t. zw. wewnętrzne i zewnętrzne. Wewnętrzne odbywają się w ciągu roku szkolnego, a mają na celu — poza momentami ściśle metodycznemi — oswojenie uczniów z estradą koncertową. Nazwa „wewnętrzny" pochodzi stąd, że wstęp na produkcję mają wyłącznie słuchacze Konserwatorjum oraz ich rodziny. Natomiast produkcje zewnętrzne, czyli popisy, umożliwiaja poznanie szerszym kołom publiczności materjału uczniowskiego, jego kwalifikacje i dotychczasowe wyszkolenie. W produkcjach tych biorą udział nietylko soliści, ale też kameralne zespoły, chór i orkiestra.

Śląskie Konserwatorjum nie ogranicza się wyłącznie do pracy pedagogicznej, ale równocześnie odgrywa ważną rolę w kształtowaniu muzycznej kultury solistów, audycje dla młodzieży, prelekcje łączą się w programową całość, planowo nakreśloną i konsekwetnie realizowaną. W pracy tej niejednokrotnie biorą udział słuchacze Konserwatorjum, które od pierwszych lat istnienia zdołało uruchomić liczne zespoły kameralne, dwie orkiestry (symfoniczną i dętą) oraz zespoły wokalne. Są to zespoły złożone wyłącznie z wychowanków uczelni.

Mówiąc o artystycznej pracy Konserwatorjum, należy równocześnie wspomnieć o działalności Towarzystwa Muzycznego w Katowicach, instytucje te bowiem wspólnie dążą do ożywienia lokalnego ruchu koncertowego. Z inicjatywy prezesa Towarzystwa Muzycznego dr. Tadeusza Saloniego oraz dyrektora Konserwatorjum Faustyna Kulczyckiego zreorganizowano stałą orkiestrę symfoniczną, w której oprócz muzyków z poza Konserwatorjum biorą udział członkowie grona nauczycielskiego. Symfoniczne koncerty Towarzystwa Muzycznego mają nadzwyczaj doniosłe znaczenie artystyczne, poziom zaś ich oraz program zdobyły zasłużone uznanie. W koncertach tych często współdziałają jako soliści profesorowie Śl. Konserwatorjum, jak również muzycy zaproszeni z innych miast. Wzrastającą frekwencją cieszą się kameralne koncerty oraz występy solistów w sali Konserwatorjum. Czyste dochody z tych imprez przeważnie są przekazywane na cele dobroczynne.

Zasiąg działalności Towarzystwa Muzycznego oraz Konserwatorjum rozprzestrzenia się również na audycje muzyczne, przeznaczone dla młodzieży szkolnej, a posiadające tak doniosłe znaczenie wychowawcze. Audycje te organizowane są przez „Radę Opiekuńczą", w skład której weszli pp. dr. Saloni, dr. Kupczyński, prezydenci miast Katowic i Chorzowa, przedstawiciele szkolnictwa oraz sfer muzycznych. Rada Opiekuńcza urządza bezpłatne audycje; współudział bierze stale orkiestra symfoniczna i zespół kameralny Towarzystwa Muzycznego, jako soliści zaś przeważnie profesorowie Śl Konserwatorjum. Programy ułożone są przystępnie i zwięźle, audycję poprzedza stale słowo wstępne, a nadto odpowiednie uwagi przeplatają poszczególne części programu. W ten sposób młodociane audytorjum, złożone stale z kilkuset uczniów, poznaje wybrane dzieła, uczy się je cenić i rozumieć.

Postaraliśmy się przedstawić zakres pracy Śląskiego Konserwatorjum Muzycznego, które przez swą działalność pedagogiczną oraz koncertową przyczynia się do umocnienia i rozrostu ogólnej kultury muzycznej na Śląsku. I na tem właśnie polega kulturalno-narodowe znaczenie powyższej instytucji.



Interesujące zdjęcie z wyścigu jachtów na Bałtyku

Piewca lekkomyślnej miłości

Dyrekcja sowieckiego wzorowego teatru operowego, tak zwanego „Małego" teatru, wydała niedawno książkę I. Sollertyńskiego pod tytułem „Jakób Offenbach", widocznie torując drogę jego muzykalnym utworom do sowieckiej sceny. Poważni muzycy lekceważyli jego kompozycje, Wagner zaś wprost kpił z twórczości Offenbacha, pałając do niego nienawiścią, podczas gdy ironicznie wypowiadał się: — Tak, Offenbach ma ciepłotę, lecz jest to ciepło kupy gnojowej, na której w wirze walca kłębi się nierogacizna całej Europy.

Nie wszyscy jednak mówili o Offenbachu z taką złośliwością. Filozof Nietsche z właściwym sobie paradoksalizmem twierdził, że Offenbach reprezentuje prawdziwą francuską muzykę, przesiąkniętą duchem Voltaira, zawadjacką, z domieszką lekkiej satyry, lecz pogodną i dowcipną, bez przesadzonej tkliwości, charakterystycznej dla muzyki wiedeńskiej. Jeżeli Wagner zanadto obniżał zalety twórcy współczesnej operetki, to znów niemiecki filozof wyraźnie przesadzał, uważając, że Offenbach ma więcej praw na genjalność, niż twórca „Tanhäusera".

Biczując dwór Napoleona III., jego samego i cesarzową Eugenję Monticho, Offenbach umiejętnie obchodził rafy, przenosząc akcję do antycznej Grecji, lub fantastycznego państwa Peru, lub też do nieistniejącego księstwa Geroldstein. Jednak widz prędko orjentował się w sytuacji, i szczerze śmiał się z satyry, która swojem żądłem trafiała do najczulszych i niedostępnych miejsc. Tylko we Wiedniu „Piękna Helena" charakteryzowana była jako cesarzowa zaś aktor, grający rolę rogacza Menelausa, „męża królowej", przylepiał sobie duże wąsy i klasyczną bródkę Napoleona III.

Życie Offenbacha pełne jest przeciwieństw i paradoksów: samouczek wiolonczelista, z gatunku „cudownych dzieci", w wieku lat 12 już ogłoszony mistrzem, przemienia się na mieszkańca Paryża już jako chłopiec 14-letni. Charakter jego przedstawia dziwną mieszaninę: obok lekkomyślnego eleganta kryje się pracowity muzyk, iście francuska ruchliwość idzie w parze z niemiecko - żydowską dokładnością. Ożenił się Offenbach z córką hiszpańskiego działacza politycznego — i „piewca grzesznej miłości", zdrady małżeńskiej i szczęśliwych don - juanów okazał się w prywatnem życiu wzorowym mężem i ojcem rodziny. Wreszcie większość widziała w nim jakiegoś muzykalnego i scenicznego pornografa: dwuznaczne kuplety, spódnice z osobliwym krojem, rój wesołych chórzystek, słowem, cały arsenał hulaszczego życia paryskiego. W rzeczywistości zaś Offenbach w tajnikach swej duszy miał skłonność do tragizmu, mistycyzmu i tajemniczości.

Wszystkie jego zatajone dążenia i uczucia znalazły wyraz w słynnej operze „Opowieści Hofmana", która, niestety, została wystawiona już po jego śmierci. Tem samem los zgotował mu jeszcze jeden dramatyczny paradoks, lecz tym razem — ostatni.

Jednak ten sprytny człowiek nigdy nie tracił otuchy i umiał ryzykować. Jego własny teatr „Bouff", założony literalnie za grosze, był bardzo mały, ciasny i nieprzytulny. foyer zaś było podobne do werandy, gdzie huczał wiatr i przeciekał dach. Nie przeszkadzało to jednak publiczności co dnia zapełniać szczelnie widownię, na której podczas wystawy wszechświatowej zjawiały się postaci króla Portugalji, Szwecji, Bawarji, wice-króla Egiptu Izmaił Paszy, księcia Walji itd. Cesarz rosyjski Aleksander II. terminową depeszą zamawia sobie lożę.

Koronowane osoby z przyjemnością słuchały groteskowych władców, stworzonych fantazją Offenbacha.

Operetki miały ogromne powodzenie i chociaż wypełniona sala nie dawała więcej niż 1200 fr., Offenbach materjalnie stał dobrze; jednak trapiły go inne troski, mianowicie, cenzura. Wówczas niedużym teatrom dozwolone było wystawiać jednoaktówki z ograniczoną ilością osób, przyjmujących udział w sztukach, nie więcej jak 3—4. Pierwsze zajście z cenzurą autor miał przez operetkę „Ostatni z palladynów" w której było 5 osób. Cenzura bezlitośnie wykreśliła piątą rolę. Co począć? Wtedy Offenbach postanowił z wykreślonej roli zrobić niemą figurę, przedstawiając żołnierza z obciętym językiem, ofiarę okrutnych saracenów. I oto przy pomocy nici Offenbach uruchamia specjalne tablice z napisami, przymocowanemi do pancerza rycerza. Repliki mają brzmienie: — Tak! — Nie! — Lecz cóż zrobić z orkiestrą i śpiewem? „Niemowa" też, przecież, bierze udział w wokalnej części sztuki. Wyjście zostało znalezione w bardzo dowcipny sposób: wobec braku mowy, niemowa będzie szczekać! Wytworzyła się niezwykle komiczna sytuacja — cała sala pokładała się ze śmiechu, cenzura zaś została pominięta.

Taka zręczność i przebiegłość przydały się później, gdyż w istocie one stanowiły dźwignię niebywałego powodzenia Offenbacha. Bogowie zeszli z Olimpu i zawirowali w zawrotnym tempie szalonego kankanu. Wenera okazała się zwyczajną kokotką, legendarny śpiewak Orfeusz — zakochanym profesorem muzyki, cnotliwa Euredyka przeistoczyła się we flirtującą damulkę. To wszystko intrygowało widza, który chętnie poddawał się słodkim czarom melodyjnej muzyki Offenbacha, osnutej na tle mistrzowskiej satyry.

Kschenek, zupełnie nie purytański autor, atakuje Offenbacha z innej strony, uważając, że jego operetki w zasadzie negują sam fakt i możność istnienia czegoś poważnego na tym świecie. Jest w tem również przesada. Offenbach był wspaniałym muzykalnym feljetonistą, ostro reagując na wszystkie potworne grymasy życia politycznego. Należy go zaliczyć do rzędu śmiałych satyryków z domieszką buffonady i frywolności, improwizatorów i zdolnych muzykalnych kawalarzy. Offenbach nigdy nie męczy i nie nudzi. Jego partytury są proste i przeźroczyste, nigdy nie są przeładowane. Stwarzając coraz to nowe melodje, Offenbach niezwykle prędko orjentuje się w swoim żywiole, i przyrodzony humor zawsze mu towarzyszy. Humor jego, istnie galijski był dostępny zarówno dla galerji jak i dla wyfraczonego parteru i wydekoltowanych dam w lożach. Właściwie Offenbach nigdy nie pretendował do roli mentora, czy też groźnego Sawonaroli, a raczej do tego się wcale nie nadawał.

Operetka Offenbacha tryumfalnym pochodem obeszła wszystkie sceny Europy, przynosząc uznanie ogólne dla autora. Wszędzie niosła z sobą śmiech wesołość i pewną żartobliwość, kryjącą w sobie ostre kolce satyry. Trujące, śmiertelne strzały frunęły ze sceny, zawsze trafiając do celu.

R. m.

Pieniądz na przestrzeni wieków

Daktyle, ryż i kakao. — Największe i najmniejsze pieniądze. — Historja talarów Marji Teresy. — Pieniądz papierowy

Coraz częściej słyszy się o rozmaitych oryginalnych tránsakcjach handlowyych. Oto malarze w Paryżu sprzedają n. p. swe obrazy wzamian za ubrania, futra, czy nawet worki ryżu... To samo, tylko na większą skalę, praktykują rządy rozmaitych państw zawierając t. zw. umowy kompensacyjne: węgiel za pomarańcze, czy cukier za rudę żelazną, czy gęsi za maszyny rolnicze..

Wracamy pomału do najstarszych i najbardziej prymitywnych form handlu wymiennego. Bo przecież od niepamiętnych czasów, stosunki handlowe między poszczególnemi narodami czy szczepami oparte były właśnie jedynie i wyłącznie na handlu wyymiennym. Nie znano pieniędzy, a jedynym środkiem płatniczym były najrozmaitsze artykuły, najbardziej w danym kraju poszukiwane i cenione.

Niezwykłe, zaiste, były owe środki płatnicze:

Tak n. p. w starożytnym Egipcie środkiem płatniczym były daktyle, odpowiednio, starannie preparowane. We wszystkich niemal grobowcach z czasów Faraonów, znajdowano szczątki daktyli, których ilość świadczyła o zamożności zmarłego.

W Meksyku środkiem płatniczym były ziarna kakao, — podczas gdy mieszkające w północnej Ameryce szczepy Indjan używały do tego celu skór zwierząt dzikich, starannie wysuszonych i wiązanych w pakiety.

Bardzo popularnym środkiem płatniczym był też i ryż, — a to zarówno w Chinach, jak i wśród licznych szczepów afrykańskich.

* * *

Bywają jednak i inne, bardziej oryginalne monety. Rekord co do wielkości i wagi zdobyły „monety", będące dotychczas jeszcze w obiegu na Wyspach Karolińskich.

Ściśle biorąc, nie można tu mówić o „obiegu": są to bowiem ogromne kamienie, dochodzące paru metrów średnicy, a ważące po kilkaset kg. Z reguły kamienie te leżą przed domostwem ich posiadacza, dając świadectwo o jego zamożności.

Najmniejsze natomiast „monety" kursują dotychczas wśród niektórych szczepów Archipelagu Sundajskiego: są to maleńkie kulki sporządzone ze specjalnego gatunku żywicy.

Do dziś dnia jeszcze spotkać się można, zwłaszcza w Afryce, z niesłychaną rozmaitością różnych przedmiotów, posiadających ustaloną wartość obiegową pieniądza. A więc specjalne gatunki muszelek, maty bambusowe, kryształy soli, nawet... bawełniane koszule, importowane z Europy.

Osobną pozycję stanowią pierścienie metalowe, przedewszystkiem mosiężne, których kilkanaście czy nawet klikadziesiąt sztuk wkładają sobie na ręce i szyją czarne piękności, znajdując w ten sposób zadowolenie odwiecznej kobiecej próżności...

* * *

Pierwsze prawdziwe monety metalowe z napisami pojawiły się około 1100-go roku przed narodzeniem Chrystusa. Wybijano je początkowo w miedzi, następnie w srebrze, które stopniowo opanowało świat cały, stając się ogólnie przyjętym środkiem płatniczym. Dopiero w połowie dziewiętnastego wieku, w szczególności od daty odkrycia wielkich pokładów złota w Kalifornji (1848), Australji (1851) i Afryce (1855) następuje zupełny przewrót w gospodarce finansowej niemal wszystkich państw, które walutę swą opierają na podkładzie złota, spoczywającego w niedostępnych piwnicach wielkich banków państwowych.

* * *

Są jednak kraje, które pozostały dotychczas wierne walucie srebrnej. Najciekawlej pod tym względem przedstawiają się stosunki w Abisynji. Instytucje Kas oszczędności i wielkich banków są tam prawie zupełnie nieznane. Mieszkańcy cały swój majątek lokują w srebrze, — a pieniądzem uprzywilejowanym i najwyżej cenionym są tam dotychczas... talary z wizerunkiem Marji Teresy.

Zaczęto je wybijać w wiedeńskiej mennicy w roku 1753 — i od tego czasu, aż dotychczas, wybija się je bez przerwy i to w ogromnych ilościach. Tak n. p. w roku 1924 wybiła mennica wiedeńska tych talarów cztery miljony sztuk, — w roku następnym blisko piętnaście miljonów!

Przez długi czas nie wiedziano, w czem tkwi tajemnica „powodzenia" tych talarów, które wyrugowały z Abisynji i sąsiednich krajów wszystkie inne monety srebrne, nie wyłączając hiszpańskich piastrów, tureckich „medżidżje" i włoskich talarów erytrejskich z wizerunkiem króla Humberta I.

Tajemnicę tę odkryto dopiero przypadkowo, kiedy w kilkanaście lat po pierwszej emisji mennica wiedeńska wybiła talary z wizerunkiem podstarzałej już w międzyczasie cesarzowej.

Talarów tych Abisyńczycy nie chcieli przyjąć: ich gustom odpowiadał jedynie wizerunek cesarzowej w pełnym rozkwicie jej młodości, wizerunek kobiety młodej, okazałej, ładnej i doskonale zbudowanej.

Trzeba tedy było wrócić do pierwotnej matrycy. I ta pozostało do dziś dnia.

Pieniądz papierowy, banknot, ma również swoją historję. Już w starożytnym Egipcie istniało coś podobnego. Pierwsze, niewątpliwe ślady banknotów spotykamy w Chinach, w siódmym wieku po Chr., kiedy to w okresie klęski głodowej, wydawano asygnaty na ryż i sól.

Dopiero jednak z końcem ośmnastego wieku pieniądz papierowy zdobywa sobie prawo obywatelstwa, a to niemal równocześnie w Austrji i we Francji, gdzie po rewolucji zaczęto drukować banknoty. Coprawda, miały one krótkotrwałą wartość skutkiem inflacji i postępującej w ślad za nią dewaluacji.

Czasy współczesne przyniosły nam nową zdobycz: czeki, rugujące z powodzeniem pieniądz papierowy, łatwo ulegający zniszczeniu. Ostatniemi czasy znaleziono pewny środek, zapobiegający zniszczeniu i darciu się banknotów. Jest to jakiś specjalny rozczyn metaliczny którym powleka się powierzchnię banknotu, robiąc go w ten sposób zupełnie odpornym na podarcie i niezapalnym.

(kr.)

ŚWIAT KOBIECY

Płoteczki o modzie

W świecie mody w tej chwili właściwie nic się nie dzieje. Opustoszał Paryż... tylko gdzieś za szczelnie pozamykanemi drzwiami królowie mody łamią sobie głowy, przygotowując już modę jesienną. Ale o tej zawcześnie jeszcze mówić. Zresztą Paryż umie dobrze strzec tajemnicy.

Więc mody szukać trzeba na plaży lub w górach, w pierwszorzędnych uzdrowiskach i letniskach.

— Na plaży kostjumy kąpielowe, odsłaniające zupełnie plecy. Nosi się do nich pelerynki z lekkiej wełny, szerokie, sięgające poniżej kolan, zapinane pod szyją na jeden guzik. Są one w mocnych, żywych kolorach, wyglądają zatem na plaży bardzo efektownie i malowniczo.

— W górach niezbędny jest kostjum sportowy, najlepiej z lekkiej wełny w kolorach spokojnych z beige, zielonkawy, popielaty. Z tego samego materjału spódniczka gładka, u dołu rozszerzona. Żakiet sięga poza biodra i jest przepasany szerokim skórzanym paskiem. Na żakiecie cztery nakładane kieszonki.

Guziki skórzane, ciemniejsze w kolorze.

Bluzka również nieco ciemniejsza, w deseń szkocki, w prążki lub groszki.

— Do modnego uzdrowiska potrzeba już więcej. Rano wystarczy płócienna spódniczka i sweterek. Popołudniu suknia strojniejsza, z shantungu organdi, muślinu, — zależnie od pogody i naszych możności finansowych. Bardzo ładnie prezentują się ciągle modne sukienki płócienne w jasnych kolorach, — której całe przybranie stanowią guziczki, pasek i wyłogi, w odpowiednio dobranym kolorze.

Wieczorem wreszcie długa suknia jedwabna, czy taftowa, czy nawet po prostu bawełniana imprimé. Do tego szarfa i wstążka we włosach, — całość skromna, gustowna, wygląda bardzo młodocianie.

MODNE OBUWIE

Ostatnią nowością są sandały robione z cellofanu, ogromnie lekkie i miłe w noszeniu.

Nowym też materjałem na obuwie jest skórka zwana „Veau tourne"; jest to poprostu delikatna skórka cielęca, wywrócona na odwrotną stronę, a więc niejako „przenicowana".

Dla kobiet wysokich wyrabia jeden z wielkich magazynów paryskich sandały wieczorowe o zupełnie niskich, kwadratowych obcasach.

Obuwie sportowe i spacerowe przeważnie w kombinacji dwóch kolorów: czarne z białem, bronzowe z białem i bronzowe z beige.

Wielkiem powodzeniem cieszy się oryginalny model z czarnej szwedzkiej skórki z naszytemi ukośnie trzema wąskiemi paskami białemi ze skórki cielęcej.

Na popołudnie meszty o półwysokich obcasach. Całą ich ozdobą są dziurkowane desenie po obu bokach i sprzodu.



Letnia sukienka z organdi imprimé, do tego maleńki kapelusik przybrany na szczycie kwiatami.

—0—

Elegancka suknia z czarnej krepy, biało pikowana. Duży czarny kapelusz o szerokiem rondzie, z boku silnie podgiętem.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Kąpiele rzeczne i morskie

Słońce i woda, — to dwa czynniki potężne, dające nam zdrowie i radość życia. Z jednem i drugiem jednak trzeba być ostrożnym; konieczne jest zachowanie właściwej miary, jeśli chcemy uniknąć przykrych nieraz i bolesnych niespodzianek.

Pamiętać musimy, przedewszystkiem, że temperatura wody jest zawsze znacznie niższą od temperatury ciała, które zatem we wodzie traci dużo ciepła. Na stępstwem tego jest tzw. gęsia skórka, a przy dłuższem przebywaniu w wodzie uczucie zimna i dreszcze.

Skoro zatem poczujemy pierwsze dreszcze, należy natychmiast wyjść z wody, o ile chcemy uniknąć przeziębienia.

Równie ważną jest rzeczą po wyjściu z wody zrzucenie bezwłoczne przemoczonego kostjumu kąpielowego, — zamiast chodzić w nim klapiąc zębami i czekać, aż obeschnie.

Po zrzuceniu mokrego kostjumu wycieramy energicznie do sucha całe ciało i ubieramy inny, suchy zupełnie kostjum. Dobrze jest potem zażywać trochę ruchu, aż poczujemy miłe ciepło.

Czas trwania kąpieli przedłużamy stopniowo, podobnie jak to się praktykuje przy kąpielach słonecznych. Dotyczy to zwłaszcza kąpieli morskich, znacznie więcej osłabiających organizm, niż kąpiele w rzekach lub w stawach,

Co się tyczy pływania, pamiętać należy, iż osoby cierpiące na wadę serca nie powinny używać wogóle tego sportu, odpowiedniego tylko dla zupełnie zdrowych i wytrenowanych pływaków.

Również wszelkie choroby uszne stanowią przeciwskazanie, mogą one bowiem powodować zaburzenie, równowagi, co pociąga za sobą nieraz fatalne następstwa. Przy tego rodzaju chorobach dobrze jest zatkać uszy watą, napuszczoną oliwą. I tembardziej wystrzegać się należy skoków do wody.

Konserwy owocowe

Przyrządzanie konserw owocowych jest rzeczą stosunkowo łatwą, nie wymagającą żadnych specjalnych zabiegów, większych wydatków ani kosztownych aparatów.

Najważniejsza rzecz, to absolutna czystość. Słoiki czy butelki muszą być wymyte bardzo gorącą wodą, następnie popłukane wodą przegotowaną. Ustawiamy je dnem do góry, a gdy zupełnie wyschną, przepłukujemy czystym spirytusem.

Owoc wybieramy w miarę dojrzały, niezepsuty i świeży. Po opłukaniu i osączeniu na sitku nakładamy go srebrną łyżeczką do słoików, lekko wstrząsając naczyniem, aby owoce ładnie się ułożyły.

Po uszczelnieniu słoika przykrywamy go czystą płócienną szmatką, a na to papierem pergaminowym i obwiązujemy kilkakrotnie silnie sznurkiem.

Słoiki, owinięty każdy z osobna w szmatkę, ustawia się w dużem naczyniu napełnionym wodą, dochodzącą nieco poniżej górnego brzegu słoików. Następnie wodę tę gotujemy przez 25 do 30 minut, — poczem całe naczynie odstawia się z ognia, celem ostygnięcia.

Wtedy dopiero wyjmujemy słoiki i po obtarciu chowamy do spiżarki.

Jeżeli chcemy podawać te owoce ocukrzone, przygotowujemy przedtem syrop, którym je zalewamy.

Można też przed zrobieniem konserw odrazu dodać do nich syropu, lub zasypywać je miałkim cukrem w stosunku 1 kg. cukru na 2 kg. owoców. Cukier jednak musi być pierwszorzędnej jakości, idealnie czysty.

ŁAMLIWE PAZNOKCIE

Na wzmocnienie zbyt kruchych paznokci doskonałą jest następująca pasta, którą można samemu sporządzić bardzo niewielkim kosztem:

Rozpuścić 20 gr. lanoliny i 20 wazeliny, dodać do tej mieszaniny 5 gr. kwasu salicylowego i wlać wszystko do słoiczka, aż ostygnie.

Pastą tą smarujemy paznokcie co wieczór przed udaniem się na spoczynek.

MODNE KOLORY

Dzisiejsza moda pozwala na najśmielsze zestawienia koloru, nawet czerwonego z zielonym, co do niedawna jeszcze uważane było za niemożliwe i niedopuszczalne.

Najnowsze i najmodniejsze zestawienią kolorów to: soczysty kolor zielony z czekoladowo-bronzowym. Dalej bronzowy z błękitnym, śliwkowy zbeige,—i wreszcie czarny z białym lub złotym. Ładnie też wygląda kombinacja czarnego z różowym, ognisto-czerwonym i ciemnozielonym.

Wieczorowe, stylowe suknie najwięcej w delikatnych odcieniach szlachetnych kamieni: ametystu (delikatny kolor lila) lub topazu (złoto-żółty). Dla brunetek kolor krwistego rubinu.

Natomiast za „niemożliwą" uważa się kombinację granatowego z bronzowym. Dwa te kolory za mało kontrastują ze sobą.

PIERWSZY KLUB KOBIECY W PERSJI

Zachodnie urządzenia i instytucje szybko przyjmują się obecnie w krajach Wschodu. Za Turcją już i Persja zwana teraz Iranem, zaczyna zakładać kluby kobiece, mające na celu rozwój intelektualny członkiń i krzewienie sportu. Pierwszy taki klub założyła księżna Ghach Chamse Palavi w Teheranie.

ZJAZD ZWIĄZKU WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI KOBIET CHRZEŚCIJAŃSKICH

Jak donosi prasa polska w Ameryce, ma się odbyć w Sztokholmie zjazd „Związku wstrzemięźliwości kobiet chrześcijańskich", mającego swą centralę w Stanach Zjednoczonych i rozpowszechnionego głównie w krajach anglo - saskich.

Zjazd ma obradować w sali parlamentu szwedzkiego. Przybycie zapowiedziało tysiące delegatek z Ameryki, Australji, Afryki południowej i Europy. Ze Stanów Zjedn. jedzie wycieczka tak liczna, że wynajęto dla niej jeden z wielkich parowców oceanicznych.

Poradnik dla gospoси

CHŁODNIK LITEWSKI

Litr zsiadłego pełnego mleka, 1/4 l. śmietany, 5 dkg szczawiu, 15 dkg botwinki, koperek i szczypiórek, 2 jaja, 1 ogórek kiszony, (rakowe szyjki, pieczona cielęcina lub gotowana szynka), 1 burak ćwikłowy.

Botwinkę opłókać pod bieżącą wodą, oczyścić, pokrajać drobno. Szczaw opłókać i posiekać, ugotować wraz z botwinką w małej ilości wody na silnym ogniu. Koperek i szczypiórek opłókać i posiekać. Ogórek obrać, pokrajać w drobne paski. Jaja ugotować na twardo, pokrajać w kostkę. Jeżeli dodajemy mięso, pokrajać je drobno. Mleko rozmącić ze śmietaną, wymieszać ze wszystkiemi składnikami, zabarwić sokiem z surowego buraka, wynieść na lód, albo przed podaniem włożyć kawałek lodu.

CZEKOLADA Z LODU

Proporcja: 1/2 litra mleka, pół litra słodkiej śmietanki, 2 łyżki wyborowego kakao, 10 dk. czarnej czekolady w tabliczkach, 4 żółtka, 10 dk cukru pudru. Rozpuścić czekoladę i kakao we wrzącem mleku, zagotować mieszając, zaciągnąć żółtkami ubitemi do białości z cukrem pudrem, wystudzić. Dodać surową śmietanę kremową, wymieszać, wstawić w lód, doskonale zamrozić. W czasie studzenia mieszać od czasu do czasu, żeby się czekolada powierzchu nie ścięła. Wydając na stół nalewać w doskonale wyziębione szklane filiżanki, napełniając je w 3/4, na wierzchu położyć łyżkę zamrożonej bitej śmietanki.

Do czekolady z lodu podaje się biszkopty, albo ciasteczka chrupkie.

ZUPA Z CZARNYCH JAGÓD

3 litry dojrzałych, bardzo świeżych czarnych jagód (nadpsute są zawsze gorzkie) wymyć czysto, wsypać do rondla, zalać wodą, dając jej tyle, aby jagody przykryła, gotować 15 minut, dodając cukru do smaku. Zdjąć z ognia, rozbić kopystką drewnianą, przefasować przez sito, wystudzić i wyziębić w lodzie. Na wydaniu jeszcze doprawić cukrem w razie potrzeby i dodać albo wyborowej, młodej kwaśnej śmietany, albo też na litr zupy szklankę czerwonego wina. Podawać zupę z jagód: zabieloną z delikatnemi, małemi łazankami, a doprawianą winem czerwonem z groszkiem ptysiowym, albo drobnemi słodkiemi grzaneczkami.

POLEWKA Z PIWA NA ZIMNO

Proporcja: 6 szklanek piwa, 2 szklanki wyborowej, młodej, kwaśnej śmietany, strychowana łyżka mąki pszennej, cukru do smaku. Chleb i ser krajane w kostkę.

Zagotować piwo w dużym rondlu, pod przykryciem. Zdjąć natychmiast gdy się tylko zagotuje. Wrzące piwo zaciągnąć kilkoma łyżkami śmietany roztartej z łyżką mąki. Śmietanę z mąką wlać na zagotowaniu i raz zagotować zupę, mieszając. Doprawić cukrem do smaku, wlać do wazy, przykryć, doskonale wychłodzić. Na wydaniu doprawić pozostałą surową kwaśną śmietaną. Oddzielnie podać chleb biały żytni i biały i ser krajany w kostkę.

—0—

Radjo a prasa

Temat ten coraz częściej omawiany bywa na łamach dzienników we wszystkich państwach na obu półkulach.

I zdaje się, nieprędko jeszcze zostanie wyczerpany — wobec nieustannych kolizyj zachodzących między temi dwoma najpoważniejszemi i najważniejszemi czynnikami współczesnego życia.

Świeżo oto krótka notatka z Ameryki przyniosła wiadomość o zerwaniu stosunków między amerykańskiem radjem a najpotężniejszemi agencjami prasowemi z *„United Press"* i *„Associated Press"* na czele. Te ostatnie postanowiły wstrzymać się zupełnie od przekazywania jakichkolwiek wiadomości prasowych przez radjo.

Z drugiej znów strony na IV. Kongresie Międzynarod. Federacji Związku Wydawców szeroko dyskutowana była kwestja wzajemnego stosunku radja i prasy, — przyczem podkreślano, że stosunek ten w ciągu ostatniego roku nie wykazywał żadnego polepszenia.

Sprawa jest jasna: wydawcy dzienników patrzą niechętnem okiem na „konkurencyjną" działalność radja w dziedzinie służby informacyjnej, oraz reklamowej.

Spróbujmy spojrzeć na te sprawy zupełnie objektywnie, bez uprzedzeń.

Najpierw sprawa reklamy. Na tym punkcie poszczególne radjofonje zajmują różne, nieraz djametralnie sprzeczne stanowiska. Są kraje, jak Anglja, gdzie jakakolwiek reklama handlowa jest zasadniczo i kategorycznie wzbroniona.

Ale bo też radjofonja angielska, bardzo bogato wyposażona, mająca miljony abonentów i słuchaczy dosłownie na całej kuli ziemskiej, dbać musi o prestiż potężnego imperjum brytyjskiego. Zysków z reklamy czerpać nie chce — i nie potrzebuje.

Na drugim biegunie stoi Ameryka ze swemi radjostacjami, co prawda równie znakomicie wyposażonemi, — ale zawdzięczającemi swój świetny rozwój właśnie i przedewszystkiem — reklamie. Tu znów trzeba wziąć pod uwagę mentalność Yankesów, jakże odrębną i różną od naszej! Przecież tam nawet w kwestjach religijnych i wyznaniowych bez krzykliwej, nieraz niesmacznej wręcz reklamy, obyć się nie można!

Co kraj — to obyczaj, — i obyczai tych nie zmieni żadna uchwała, żadna akcja.

Naszem zdaniem sprawy reklamy handlowej przez radjo nie należy brać zbyt tragicznie. Zapewne — najlepiej byłoby i dla prasy i dla radjosłuchaczy nawet, gdyby w radjofonji wszelka płatna reklama była raz na zawsze wykluczoną.

Ale trzeba pamiętać o tem, że przecież kupiec czy przemysłowiec — poza radjem! — ma jeszcze cały szereg innych sposobów reklamowania się, z których też wydatnie korzysta, — jak kina, prospekty, ulotki, plakaty, „żywą" reklamę uliczną itp. itp. Nie przeszkadza to jednak, że tenże sam kupiec pozostał nadal stałym klijentem pism codziennych i perjodycznych, jak o tem wymownie świadczą całe szpalty ogłoszeń. Bo zdaje on sobie dobrze sprawę, że systematyczne ogłaszanie się w dziennikach przynosi mu zyski, których ani radjo, ani kino dać mu nigdy nie może.

Każdy sposób reklamy otwiera inne możliwości, każdy może być skuteczny, ale wszystkie, razem wzięte, nie przeszkadzają sobie wzajemnie.

Dopóki zatem reklama handlowa nie zniknie zupełnie ze wszystkich radjostacyj, — trzeba się z nią pogodzić.

* * *

Druga, ważniejsza znacznie i zasadnicza sprawa, — to radjowa służba informacyjno - prasowa.

Przypomnijmy sobie pierwsze dni po zgonie Marszałka Piłsudskiego, — przypomnijmy sobie te tłumy ludzi wszystkich stanów, zebrane przed wystawionemi w oknach sklepów głośnikami radjowemi i słuchające w skupieniu komunikatów radjowych, nadawanych w odstępach paru minut.

Czy jakikolwiek, najsprawniej funkcjonujący dziennik byłby w stanie zorganizować podobną, nieprzerwaną służbę informacyjną?

Tutaj dopiero pokazało się, jak wielką a niezastąpioną funkcję ma radjo do spełnienia!

A jednak — równocześnie dzienniki zwiększyły nakład, biły nadzwyczajne wydania, rozchywytywane przez publiczność!

Więc i tu — nie konkurencja radja i prasy, lecz współpraca, wzajemnie się uzupełniająca.

I zdaje nam się, że w podobnych, wyjątkowych wypadkach i wydarzeniach tego rodzaju współpraca jest nie tylko pożądana, ale poprostu nieodzowna.

* * *

Jak jednak wygląda sprawa normalnej, codziennej służby informacyjnej przez radjo?

Wspomniany przez nas wyżej Kongres międzynar. Związku wydawców wyraził opinję, że informacje te winny być podawane w możliwie zwięzłej i krótkiej redakcji, i to w takiej formie, aby słuchacz, zainteresowany temi „skrótami", sięgnął po gazetę, gdzie znajdzie bliższe szczegóły. Jesteśmy przekonani, że opinja ta zgadza się z zasadniczą intencją radjofonji, która nie pragnie robić konkurencji prasie, lecz raczej wręcz przeciwnie chce w ten sposób zjednać dla niej nowe zastępy czytelników.

Idzie tylko o właściwy i odpowiedni dobór materjału informacyjnego: o ile przeciętnego radjosłuchacza nic nie obchodzi np. rewolucja w Meksyku czy nawet ostatnia mowa polityczna Lloyd George'a, — to z zainteresowaniem posłucha on wiadomości o najnowszych wydarzeniach w obrębie Polski, a nawet wyniku meczu piłki nożnej. A „swoją" gazetę i tak napewno kupi, — bo znajdzie w niej tysiące innych wiadomości.

* * *

I jeszcze jedno: radjosłuchacz w Grajdołkach czy Kaczej Wólce dostaje „swój" dziennik z reguły na drugi dzień po wyjściu. Wiadomości, dla niego nowe i nieznane, ale bądźcobądź grubo spóźnione. A przecież i w Grajdołkach są ludzie, którzy pragnęliby być „au courant" wszystkiego co się w świecie dzieje. Umożliwia im to radjo. Z tem trzeba się pogodzić, — co więcej, trzeba ocenić to właściwie, jako rzecz celową i potrzebną.

Jest jeszcze jedna grupa radjosłuchaczy: to ci, którzy żadnych dzienników nie prenumerują. Dlaczego? — bo albo ich nie stać na to, albo uważają to za zbytek, albo poprostu — niestety! — czytać nie umieją. (Tych ostatnich niebrak jeszcze w Polsce!)

Niechże i ci wszyscy mają za pośrednictwem radja choćby chwilowy, luźny kontakt ze światem! Niechaj mają możność otrzymania przez głośnik wiadomości i informacyj autentycznych, które dotychczas dochodziły do nich (jeśli wogóle dochodziły) z drugiej czy trzeciej ręki, niejednokrotnie rozmyślnie przekręcone lub fałszywie naświetlone.

A może niejeden z nich, gdy zasmakuje w informacjach podawanych mu przez radjo, — zdecyduje się wreszcie na... zaprenumerowanie gazety, aby powiększyć i rozszerzyć swój zakres wiedzy?

Więc zdaje mi się, że owa „konkurencja" radja wobec prasy, przynajmniej w naszym kraju, nie wygląda w rzeczywistości tak groźnie. Idzie tylko o umiejętność zachowania tego „złotego środka": nie konkurować, lecz uzupełniać się i współpracować.

(Lucy).

Impresje piątkowe

Śmierć brygadjera **Czesława Mączyńskiego** odbiła się żywem bolesnem echem we wszystkich polskich sercach lwowian. A pogrzeb naczelnego komendanta listopadowej obrony miasta, był wielką manifestacją narodową. Lwowskie radjo w dniu pogrzebu w miarę swych możliwości (jak na prowincjonalną rozgłośnię — bardzo **skromnych!)** uczciło tę smutną uroczystość w południowych godzinach, pięknym, choć krótkim reportażem dyr. **Pawłowicza,** oraz — w godzinach późniejszych, przedwieczornych — audycją żałobną. Na tę ostatnią złożyło się przedewszystkiem przemówienie **inż. Widomskiego** i ciekawie opracowane sprawozdanie z przebiegu pogrzebu pułk. Mączyńskiego na cmentrzu Obrońców Lwowa, wygłoszone przez red. **Fabjańskiego.** Naprawdę szkoda że warunki — niezależne zresztą od dyrekcji programowej rozgłośni lwowskiej — nie pozwoliły na szersze zamanifestowanie w radjo uczuć mieszkańców grodu Semper Fidelis z okazji tego żałobnego święta. Natomiast uważam, że stanowczo **należało przenieść na inny dzień** wesołą audycję Wilhelma Korabiowskiego. Audycja ta — jakkolwiek dobra i chętnie słuchana przez amatorów humoru tego zdolnego parodysty — jednak nie powinna mieć miejsca **w dniu tak poważnym, a nawet smutnym,** jakim był piątek 19 lipca br. we Lwowie.

Ale a propos „piątek". Dzień ten w świecie chrześcijańskim jest nie tylko dniem postu, lecz również pewnego **umiarkowania** w używaniu wesołych rozrywek. A przestrzeganie tego zwyczaju jest również pewną charakterystyczną cechą społeczeństwa o **kulturze chrześcijańskiej.** Mam do zanotowania dziwny zbieg okoliczności, że w programach Polskiego Radja właśnie w tym dniu odbywa się w letnim sezonie szereg audycyj wesołych, a między innemi jedna stała pt. „Impertynencje na wesoło" czy coś w tym rodzaju. A że ten „dziwny zbieg okoliczności" może być dla chrześcijańskich radjosłuchaczy **przykry,** niech o tem świadczy fakt, iż słyszałam z kilku stron pytania ,czy przypadkiem nie jest to sposób na odzwyczajenie słuchaczy od starej tradycji o podłożu religijnem. Oczywiście ja sama nie uważam tego dziwnego zbiegu okoliczności za rzecz aż tak arcychytrą, ale — dobrzeby było, by Polskie Radjo, instytucja dzisiaj w tak wielkiej mierze nadająca ton przejawom życia społecznego, **szanowała** bezwarunkowo choćby tak drobne tradycje swych abonentów, którzy wszak w przytłaczającej większości są chrześcijanami i katolikami. Naturalnie sprawa ta jest drobiazgiem, naprzeciw raczenia olbrzymiej większości katolickich radjosłuchaczy w czasie Wielkiego Postu, transmisjami muzyki z warszawskich nocnych lokali, na tle hałasu szurania do taktu butów o parkietową posadzkę dancingu, jak to miało miejsce swego czasu.

Kwestje te poruszam dopiero teraz, po dłuższej obserwacji i przekonaniu się, iż piątkowe wesołe audycje nabrały charakteru stałego. Nie chciałabym, by mnie posądzono o purytanizm czy przesadę, dlatego nie wspominam o piątkowych audycjach muzyki lekkiej, które ożywiają powdzienny program, wnosząc w niego przyjemne urozmaicenie i tempo. Lecz przyznajmy, że jest różnica między „muzyką lekką" która — słuchana naprzemian z feljetonami czy odczytami poważniejszymi — **sprzyja** wypoczynkowi i odprężeniu nerwów, a audycją słowną, w samem swem założeniu mająca za zadanie rozśmieszanie słuchających. Z twierdzeniem, iż teraz jest lato, wakacje, w czasie których chętniej przyjmujemy rzeczy wesołe niż poważne, najzupełniej się zgadzam, bo też nie chodzi mi wcale o jakiekolwiek ograniczenie lekkich, czy wesołych audycyj, lecz jedynie **o właściwe układanie programów** w związku z obyczajami gros radjoabonentów. I właściwie byłoby nawet dosyć łatwem takie utrzymanie jednolitego, poważniejszego charakteru programów tego dnia, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż właśnie co piątku słyszymy płynące przez eter słowa kapelana ks. **Michała Rękasa,** słowa skierowane do wszystkich — bez różnicy wyznania — ludzi. Cały trud polegałby więc tylko na kontynuowaniu — z dopuszczalnemi mutacjami — tej linji powagi w następnych audycjach.

Wracając zaś do samych „Impertynencyj", podkreślić trzeba, że audycja ta jest b. dobra, zwłaszcza w okresie letnim, kiedy słuchacze spragnieni są rozrywek **efektownych, a nie wymagających natężenia uwagi** czy myśli. Choć przyznam również, iż jednorazowe, czy ewentualnie dwukrotne wysłuchanie tychże w zupełności pozwala słuchaczowi na zorjentowanie się w możliwościach stylu i humoru ich autora p. Marjana Hemara.

IRENA NAŁĘCZ.

Ze świata książki

„Co to jest Marynarka Wojenna" — inż. J. Ginsberta — Cena zł. 1.80 (Wyd. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa).

Dziełko „Co to jest marynarka wojenna" zostało opracowane ze źródeł oficjalnych przez inż. Juljana Ginsberta, przy współudziale mg. Benedykta Krzywca i art. mal. Feliksa Ciechomskiego (okładka atelier Girs-Barcz). Mimo niewielkich rozmiarów zawiera ono obfity materjał informacyjny do wykładów w szkole o polskiej flocie wojennej (przy nauce o Polsce) oraz do odczytów propagandowych o polskiem morzu. Zawiera ono jasno sprecyzowane korzyści i znaczenie floty wojennej, określa do czego służy marynarka wojenna, jak się ją tworzy, jak do niej wstąpić, dlaczego nam jest potrzebna, podaje stan naszej floty wojennej, typy jej okrętów i t. p. 9 ilustracyj, 1 tablica statystyczna, kolorowa tablica flag, oznaki stopni w marynarce wojennej, ważniejsze typy okrętów świata oraz dwie duże plansze przedstawiające przekrój okrętu linjowego i łodzi podwodnej — oto wspaniały materjał ilustrujący w tem dziełku posiadający w dodatku tę korzystną własność, że umieszczony jest na tablicach, które przy wykładach mogą być rozkładane i wykorzystywane przez większe audytorjum.

„Przedsiębiorstwo morskie" — Kdra G. Piotrowskiego — Cena zł. 2.80. Od wiosny dorastająca młodzież całej Polski żyje pod znakiem ukończenia szkoły. Ostatni rok i co potem? Potem decyzja o dalszej karjerze, o wyborze fachu, o założeniu podwalin pod przyszłość własną. Wybór jest trudny.

Na te niesłychanie żywotne i aktualne pytania daje odpowiedź arcyciekawa książka komandora G. Piotrowskiego pt. „Przedsiębiorstwa morskie", wydana przez Główną Księgarnię Wojskową w Warszawie. Autor wypraktykowany specjalista przemysłów morskich, umożliwia czytelnikom zapoznanie się z różnego rodzaju przedsiębiorstwami morskiemi.

W pierwszych rozdziałach książki, autor drobiazgowo omawia wszystkie rodzaje przedsiębiorstw żeglugowych, mogących zatrudnić zarówno wielkie jak i zupełnie małe kapitały, przynosząc pokaźne zyski, trudne do osiągnięcia w przedsiębiorstwach ściśle lądowych.

Zkolei czytamy o przebogatych możliwościach w różnych innych gałęziach pracy dla morza, jak np. armatorstwo, pilotaż, holownictwo, handel i przetwórczy przemysł rybny mające ogromną przyszłość dla ludzi, którzy poważnie rzecz traktując przystąpią do pracy z odpowiedniem wykształceniem i zrozumieniem ważności sprawy.

Komuż zatem należy polecić książkę „Przedsiębiorstwa morskie"? Dwom kategorjom ludzi: młodzieży szukającej nowych, mało obsadzonych zawodów oraz ludziom projektującym otworzenie sobie niewielkich warsztatów pracy. Nie wielkich, gdyż niektóre opisane przez Komandora G. Piotrowskiego przedsiębiorstwa albo prawie nie potrzebują kapitału zakładowego albo kapitał ten wymagany jest w ilościach dostępnych średniemu właścicielowi warsztatu pracy „lądowego".